Nr. 130. Lwów — Sobota dnia 9 Czerwca. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięczna ... Półroczna ... Kwartalna ... Rocznie ...
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . .
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
O głoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce . . ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Felicyana | Nykyty Jep.
Jutro: G. 4 po Św. | N. 6 SS. Ot.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 4 m. 6
Zachód „ „ 7 „ 51

Długość dnia g. 15 m. 45
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przypominamy, że za każdą zmianę adresu (to jest poczty, wsi, tytułu etc.) należy zapłacić 20 ct. z góry. Kto tej opłaty nie uiści, ten nie ma prawa żądać zmiany adresu.

Przegląd polityczny.

Lwów 8 czerwca.

Liberałowie węgierscy mogą się z całą słusznością nazywać radykalistami, to znaczy stronnictwem, które nie szanuje ani praw monarszych, ani konstytucyi, ani nawet własnych przekonań, — zgoła nic, oprócz korzyści egoistycznych, wynikających z rządzenia krajem. Cały komplet tak zwanych reform kościelnych, których tylko ułamkiem jest ustawa o ślubach cywilnych, — wszakże to utwór czysto radykalnych dążności, gwałcących sumienie katolickiego ludu. Drugą taką dążnością jest chęć złamania konstytucyjnego prawa, przysługującego izbie magnatów. Trzecią, wykonywaną z dodatkiem oburzającej arogancyi, widzimy w nacisku, jaki oni teraz wywierają na Koronę, ażeby pan Wekerle, ich bożek i rękojmia ich powodzenia, koniecznie pozostał u steru. Nie mówimy już o wrzaskliwych artykułach giełdowej prasy wiedeńskiej i peszteńskiej, która na wszystkich cymbałach głośnych i krzykliwych wychwala Wekerlego, poprostu narzuca go Monarsze, zamiast zaczekać, aż on sam wykona to, co jest jego wyłącznem prawem: w sferach arogantów daremnie byłoby szukać delikatności i poszanowania cudzych praw. Ale bardzo przykre, wręcz wstrętne wrażenie czyni fakt, że rada miejska Pesztu — miasta, któremu Cesarz okazywał zawsze tyle względów, tyle dobrodziejstw — poważyła się demonstrować na rzecz Wekerlego, obdarzać go godnością honorowego obywatelstwa właśnie w chwili, gdy on, udaremnieniem starań o zakończenie przesilenia rządowego, przyczynia Monarsze niepotrzebnych kłopotów i siebie narzuca na jedynego szefa gabinetu, w czem mu gorliwie pomaga jego stronnictwo, zorganizowane zawsze w lożę masońską, a teraz występujące jako formalny spisek. Piękną nauczkę dał Wekerlemu półurzędowy organ włoski *Italie,* który zamieścił następujący artykulik:

„Nie zamierzamy mięszać się do wewnętrznych spraw obcego państwa, wszelako sądzimy, że pożytecznie będzie przypomnieć, jak to się stało w Piemoncie przy takiej samej okoliczności, jak ta, która teraz porusza państwem węgierskiem. W listopadzie roku 1852 Cavour przedstawił izbie deputowanych projekt ślubów cywilnych i otrzymał ogromną większość, ale w senacie, w którym wówczas zasiadało sporo kardynałów i biskupów, projekt natrafił na zaciętą opozycyę. Minister sprawiedliwości Boncompagni, a po nim Cavour wygłosili świetne i pamiętne mowy, a tak przekonywujące, że gdy przyszło do głosowania, to paragraf pierwszy projektu odrzucono jednym, czy dwoma głosami większości, — to dotychczas nie jest dokładnie wiadome. Następnego dnia Boncompagni prosił senatorów o przerwanie dyskusyi, a we dwa dni potem pojawił się reskrypt królewski, nakazujący gabinetowi cofnąć projekt o ślubach cywilnych. I więcej już o nim mowy nie było aż do roku 1865. Uszanowano więc jeden, czy dwa głosy większości, co jednak nie przeszkodziło Cavourowi stać się sławnym mężem stanu i aż do śmierci w roku 1859-ym pozostawać prezesem ministrów."

P. Wekerle nie jest jednak Cavourem jest człowiekiem, o którym—jak opowiadają w Wiedniu — Rotszyld miał się tak wyrazić: „Z nim już nie chcę mieć nic do czynienia, bo mię trzy razy okłamał". Skoro tak, to jest to pan nader obrotny. Misyę hr. Hedervary'ego udaremnił, nie dawszy mu złożyć gabinetu i siebie podstawiwszy Cesarzowi, jako takiego, który już nie żąda gwałcenia izby magnatów. Tę „rękojmię" już raczył odrzucić po naradzie ze swym klubem. Ale przy dwóch innych jeszcze obstaje, mianowicie przytem, że Cesarz powie magnatom, iż chce uchwalenia projektu o ślubach cywilnych i że da wstępną sankcyę wszystkim dalszym reformom bezwyznaniowym. Czyż to znowu jest żądanie konstytucyjne? czy wolno nalegać na Monarchę, aby swą wolę narzucał prawodawczej izbie? Ale zapewne p. Wekerle wyrzeknie się i tych „rękojmi", aby jeno prezesem pozostać ku bardzo zrozumiałej radości swych giełdowych przyjaciół.

O ziemie środkowo-afrykańskie, których nazwy brzmią dla Europejczyka całkiem nowo, i których położenie znają tylko stosunkowo nieliczni badacze „Czarnego Lądu", spierają się teraz ze sobą Anglia, Francya, Belgia, Niemcy i Turcya, ta zaś ostatnia jedynie jako nominalna zwierzchniczka Egiptu. Spór o granice i o całe prowincye toczy się nie na gruncie, ale na mapach geograficznych, sporządzonych niezawodnie ze sporą dozą fantazyi, w skutek czego pewnie nikt nie zaręczy, że przedmiot sporu jest właśnie takim, jakim go wyobrażają sobie sprzeczające się mocarstwa. Rozumowanie ich jest po prostu takie, że pod skwarnemi promieniami słońca na Równiku są przecie ziemie, bo o nich mówią nietylko podróżnicy, którzy zwykle są bajarzami, ale także Arabowie i różni murzyni, a zatem do czyjej „sfery wpływów" powinny one należeć? W pałacu Dożów w Wenecyi jest kolosalny globus, zrobiony kilkaset lat temu. Na nim dość wiernie nakreślone są brzegi mórz Śródziemnego, Adryatyckiego i Czarnego, oraz krajów przyległych, a wszędzie dalej zaczyna się rysunek pełen naiwnej fantazyi. Na tym-to rysunku napisano: „Ziemie dzikich Scytów, jeszcze niepodbitych przez państwo weneckie". To było wszystko, co wówczas wiedziano o północy i wschodzie Europy, oraz o lądzie za morzem Kaspijskiem, ale już zamierzano zagarnąć te obszary, skoro pisano o nich, że jeszcze nie są podbite. Zupełnie to samo jest teraz z krajami w środkowej Afryce, różnica jeno ta, że nie jedno, ale kilka państw rości sobie prawo do podboju. Ta sprawa, podobna do sprzeczki o skórę niewytropionego jeszcze niedźwiedzia, wywołała już interpelacyę w izbie francuskiej, protest rządu niemieckiego i „uprzejme przedstawienie" wystosowane przez Portę do londyńskiego gabinetu. Trzeba więc o tem kilka słów powiedzieć.

Przedewszystkiem zaznaczmy, że kilka lat temu, na „afrykańskiej" konferencyi w Berlinie postanowiono, iż każde mocarstwo europejskie może sobie w Afryce brać wszystko, czego jeszcze nikt inny nie zabrał. Otóż Anglia i Belgia są zdania, że jakieś kraje Faszoda, Lado i Bahr-el-Ghazal były jeszcze bezpańskie, a zatem można się niemi rozporządzić, natomiast Turcya mniema, iż należały one do Egiptu, więc już mają pana, zaś Francya i Niemcy zgadzają się w tem z Portą, bo tak im nakazują ich własne interesa.

Interes Francyi jest taki: z Algieru i Tunisu zagłębia się ona coraz dalej w pustynię Sahary, zabiera tamtejsze oazy, dąży do Równika, gdzie są jeziora, dające początek Nilowi. Gdy owe jeziora zabierze, to już pocznie oddziaływać na Egipt, weźmie go we dwa ognie, bo od strony Równika i od strony morza Śródziemnego, i tak kiedyś może wyrzucić Anglików z krainy piramid.

Zaś Niemiec interes tak się przedstawia: mają one na zachodnim brzegu Afryki, nad oceanem Atlantyckim, dwie duże i daleko w głąb lądu sięgające kolonie: Kamerun i Angra-Pekwenę; a na brzegu wschodnim Afryki, nad oceanem Indyjskim, mają znów Zanzibar i ziemie Suaheli. Jeśli tedy powoli z obu stron będą się rozszerzały w głąb Afryki, to się kiedyś spotkają, utworzą jedno kolosalne państwo, leżące poprzek Czarnego Lądu od oceanu do oceanu. Jest to projekt okazały, godzien zachodów i poniesionych już kosztów.

Otóż na drodze do takiego połączenia się dwóch przeciwległych niemieckich kolonii w jedną całość — i na drodze francuskiej do źródeł nilowych leżą owe kraje Faszoda, Lado i Bahr-el-Ghazad, którymi teraz rozporządziła się Anglia wspólnie z Belgią, a rozporządziła się właśnie dlatego, aby Niemcy i Francya nie mogły wykonać swych planów. Anglia zrobiła to ze względu na bezpieczeństwo panowania swego w Egipcie i jeszcze dlatego, że w ogóle nie lubi silnych sąsiadów. Wzięła więc część owych krajów sobie, część oddała w dożywotnią dzierżawę królowi belgijskiemu, jako władzcy państwa Kongo, a król na to się zgodził, bo widząc z dwóch stron rosnącą potęgę kolonii niemieckich i francuskich, chce mieć lepsze granice i większy obszar, aby także rosnąć w potęgę. Powstała tedy sprawa o to, czy Anglia z Belgią miały prawo rozporządzić się tymi krajami? Ma się rozumieć, że Niemcy i Francya utrzymują, że nie miały, a to na mocy postanowień afrykańskiej konferencyi w Berlinie. Odwołują się one do Turcyi, która w roli zwierzchniczki Egiptu także utrzymuje, że owe kraje już miały pana w osobie chedywa. Wszakże z jego ramienia, a za firmanem sułtańskim rządził tymi krajami Emin-basza, ów wrocławski żyd Schnitzer, który jako lekarz dostał się do Kairu, potem przy Gordonie wyrósł na baszę i w końcu został gubernatorem prowincyi ekwatoryalnej, czyli właśnie tych krajów, o które teraz spór się toczy. Na takie przedstawienie rzeczy odpowiadają angielskie dzienniki, że najpierw Mahdziści zasieśli w tych stronach panowanie egipskie i założyli własne państwo, które teraz się rozpada i zmniejsza tylko dlatego, że Anglia bez niczyjej pomocy kruszy potęgę Mahdzistów, a zatem wszystkie korzyści tej walki do niej należą. Następnie Emin-basza posłany był na gubernatora egipskiego Sudanu, a wygnany stamtąd przez Mahdzistów, uciekł w głąb środkowej Afryki i tam założył własne państwo, rzeczywiście obejmujące te kraje, o które teraz spór się toczy. Uważał się tedy za samoistnego królika i ani myślał podlegać Egiptowi, z którym zresztą nigdy nie mógł się skomunikować. Zatem owe kraje nie należały do Egiptu. Co zaś do samego Emina-baszy, to nie był on władzcą, o którym myślano na afrykańskiej konferencyi w Berlinie. Był sobie królikiem, jak każdy inny murzyński; umarł — i ziemia jego jest bezpańską. Tak tłómaczą sprawę dzienniki angielskie, rząd zaś milczy, jak gdyby go nic nie obchodziły gniewy niemieckie i francuskie, a żale tureckie.

Nie wiadomo jeszcze, jak się ta sprawa rozwinie. Niemieckie zastrzeżenie dopiero teraz wysłano z Berlina do rządów belgijskiego i angielskiego, a francuską interpelacyę odroczono na parę tygodni, aby nowy minister spraw zagranicznych Delcasse mógł się w sprawie rozpatrzyć. W Paryżu utrzymują, że on dlatego jedynie został ministrem, że jest znawcą kwestyi afrykańskich i stanowczym przeciwnikiem „samowoli" angielskiej, przeciw której nawet bardzo ostro wystąpił w dziennikach na parę dni przed otrzymaniem teki. Sama przez się sprawa jest ważna, bo dotyka donioslych interesów Francyi i Niemiec, więc może poróżnić te mocarstwa z Anglią, ale trudno przypuścić, żeby o jakieś kraje w środkowej Afryce kłóciły się europejskie państwa inaczej, jak na papierze.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 5 czerwca.

W radzie gminnej zabawiają się panowie rajcy kłótniami, festyny wiosenne nie udają się, onegdajszy festyn w Praterze dowiódł, że ludność nie czuje się już zobowiązaną na hasło, dane przez pierwszy lepszy komitet filantropijny, płacić wstępu do parków, na to tylko, aby oglądać kilka pań kostyumowanych i za droższe niż zwykle ceny spijać piwo; izba posłów nie dostarcza więcej przedmiotów do sporów i dyskusyi w stowarzyszeniach politycznych i zebraniach kółek prywatnych po restauracyach. Nawet uchwała zarządu giełdy zbożowej, aby zawieszono międzynarodowe targi, co roku odbywające się w Wiedniu, nikogo nie wzburzyła. Sfery kapitalistyczne chciały przedstawić fakt zawieszenia tych targów jako skutek napaści antysemickich. W rzeczy samej jednak nie antysemityzm, ale konkurencya Budapesztu sparaliżowała akcyę tutejszego kupiectwa, które widzi, że z każdym rokiem udział gości na wiedeńskich targach międzynarodowych słabnie. Austrya bardzo mało tylko wywozi zboża i to tylko niektóre gatunki, jak jęczmień i słód. Eksport natomiast Węgier za granice monarchii zawsze jest znaczny, mimo, że Przedlitawia bardzo wiele węgierskiego zboża konsumuje. Wobec tego nie dziw, że węgierscy producenci i węgierscy kupcy żądają, aby targi międzynarodowe odbywały się w Preszburgu, albo w Peszcie.

Charakterystycznem jest oświadczenie burmistrza Grübla w radzie gminnej, który tłómaczył się, że dlatego nie wniósł petycyi do rządu, aby ochronił stolicę przed stratą z powodu grożącego zawieszenia targów zbożowych, że postawienie takiej petycyi na porządku dziennym w radzie gminnej pobudzić mogłoby opozycyę do wypowiadania zdań obrażających stan kupiecki i mogące wywołać jeszcze większe kwasy i niechęci.

Opozycya więc w radzie gminnej, rozporządzająca tylko jedną trzecią częścią głosów, teroryzuje całe zgromadzenie miejskie. Bądź co bądź czy z tego, czy z innego powodu Wiedeń traci jedną z atrakcyi, która ściągała tu corocznie 6000 bogatych kupców na dni kilka, a gmina traci dochody.

Oczywiście, że wśród takich stosunków wszelka praca ugrząść musi. Od kilku lat np. mnożą się wciąż petycye nauczycieli miejskich o polepszenie płacy, a jednak nagląca ta sprawa nie może doczekać się załatwienia. W tej gałęzi administracyi miejskiej panują nieporządki, o jakich w stolicy niktby nie przypuszczał. Są to nauczyciele niżsi z płacą 400 zł. rocznie, są nauczyciele pomocniczy z płacą 25 zł. miesięcznie! Najskromniejsze pomieszkanie w Wiedniu kosztuje 120 zł. rocznie, kilogram mięsa 70—90 ct., litr mleka (lichego) 14 ct., kilogram chleba 12 ct. Jakże wobec tego może taki nauczyciel wyżyć z pensyi 25 zł. miesięcznie, a właściwie z płacy dziennej 1 zł. 11 ct. pobieranej tylko za dnie służby, a więc ani za niedziele i święta, ani podczas wakacyi! Wczoraj zebrali się nauczyciele ci i nauczycielki w sali starego ratusza i po przedstawieniu tych wprost niemożliwych do uwierzenia stosunków, postanowili wystosować petycyę do namiestnictwa i żądać 120 zł. rocznego dodatku na pomieszkanie i pensyi za dwa miesiące wakacyjne.

Jeśli gmina mająca 1·4 miliona ludności i chełpiąca się przy każdej sposobności wybornemi swojemi szkołami, zatrudnia nauczycieli, wychowawców młodego pokolenia, to niechże ich płaci tak, aby nie wymierali na suchoty i tyfus głodowy. Jeśli nie ma w gminie potrzeby wynagradzania jednej z najuciążliwszych prac umysłowych, to niech otwarcie rzecz ta rozstrzygniętą raz zostanie, a kilkuset biedaków ze świadectwami dojrzałości i dyplomami z seminaryów pójdzie kopać ziemię przy kanalizacyi, albo podawać cegły przy budowach, w takim bowiem razie każdy z nich zarobi przynajmniej 1·50 zł. dziennie nawet podczas feryi, w których wedle pojęć magistratu nauczyciele chyba jeść nie potrzebują.

W kwestyi podwyższenia płac urzędników państwowych komisya izby panów wypracowała referat, który domaga się dla klasy XIej najniższej płacy 700 zł i kwinkweniów po 100 zł. Poruszono także w tej komisyi, aby podwyższenie płac następowało nie po pięciu, ale już po czterech, a nawet po trzech latach. W każdym razie sprawa ta jest nagłą. Od roku 1873, w którym znacznie podwyższono płacę, nic nie zrobiono dla urzędników. W ciągu jednak tych lat dwudziestu wzrosły znacznie potrzeby ludności, wzrosły także i ceny bardzo wielu artykułów żywności. Państwo wydaje wprawdzie dziś na urzędników o 15.000.000 zł. więcej, aniżeli w r. 1873, ale przybyło też blisko 6000 urzędników i 443 woźnych po urzędach. Ze wszystkich stron państwa nadchodzą petycye, które koniecznie uwzględnić wypada, jeśli się nie chce pogorszyć materyału ludzi, z których rekrutuje się stan urzędniczy.

Wiec katolicki.

Poznań 6 czerwca.

Wczorajszy (drugi) dzień wiecu wypadł jeszcze wspanialej od pierwszego. Po solennem nabożeństwie odprawionem przez ks. arcybiskupa Stablewskiego ruszył pochód wiecowników z kościoła farnego do ogrodu zoologicznego. Tak wspaniałego, a nadto polskiego, pochodu Poznań już od bardzo dawna nie widział. Brały w nim udział wszystkie tutejsze świeckie i kościelne Towarzystwa, cechy i bractwa, oraz tysiączne tłumy. Ze wszystkich mieszkań polskich spadał na całej drodze prawdziwy deszcz kwiatów. Wiele domów i sklepów polskich przystrojono w zieleń i kwiaty. Salę w ogrodzie zoologicznym ubrano wspaniale.

Po przybyciu ks. arcybiskupa i udzieleniu przezeń błogosławieństwa rozpoczęły się obrady. Pierwszy referat wygłosił znany z krasomówczego talentu ks. dziekan Glabisz z Murzynowa i mówił o położeniu Kościoła katolickiego w trzech dzielnicach Polski. Czcigodny prelegent rozpoczął swój wykład od słów Chrystusa: „Jam jest droga, prawda i żywot." Wiara to nasz najdroższy skarb, największe szczęście i bogactwo nasze. Tę wiarę Chrystusową trzeba uznawać publicznie wyznawać, powinna ona mieć nadto swobodę działania, aby mogła skutecznie oddziaływać na wyznawców swoich. Kościół potrafi wprawdzie żyć życiem nadprzyrodzonem nawet w katakombach, jednakże powinien być wolnym. Przed wiekami, mianowicie przed tak zwaną reformacyą, prócz schyzmy, mahometan i garstki niebezpiecznych żydów, w całej Europie panowała religia katolicka. Czasy się zmieniły i stosunki religijne także. Dziś nie ma prawie miasta w Wielkopolsce i w innych dzielnicach, gdzie są katolicy Polacy w państwie niemieckiem, w któremby nie było protestantów i ich kościołów, a prawie wszędzie, gdzie jest Izrael, tam są i jego synagogi. My katolicy nigdy wyzywająco przeciw innym wyznaniom religijnym nie występujemy. Na wiecach naszych nigdy żadne słowo ubliżające nie wypadnie z ust naszych przeciwko protestantom i instytucyom ich kościoła. Sam wzgląd przyzwoitości — nie mówiąc o prawdziwej tolerancyi religijnej — wymaga, aby i z nami tak postępowano; niestety, nieraz oni na swych zebraniach publicznych nietylko wrogo, ale wprost w ubliżający sposób uderzają na nasz Kościół. Mimo rozkładu, w obozie ich widocznego, mają to wspólne, że pałają nienawiścią przeciwko naszemu Kościołowi i Papiestwu; stara to, wielka ich spuścizna po ojcach reformacyi. Żyjemy w państwie konstytucyjnem, mamy zagwarantowane prawa także pod względem religijnym. Jesteśmy równouprawnieni, ale czy to równouprawnienie zawsze ma miejsce? Niech historya przeszłości i teraźniejszości na to odpowie.

Kiedy przebiegamy w myśli okropne czasy kulturkampfu, uprzytomnijmy sobie kilka najwybitniejszych postaci w tej walce Kościoła z państwem. I oto przed nami z żyjących nasz dawny wódz i wyznawca, Jego Eminencya Kardynał Ledóchowski, więzień ostrowski, chluba całego Kościoła i narodu, ozdoba wiecznego miasta, który ciągle w duchowej z nami zostaje łączności, a który i dziś duchem jest z nami. Nie zapominajmy i o ks. kanoniku Maryańskim, dzisiaj prawdziwym Jobie, którego zasługi w czasie ciężkiej zawieruchy w żywej są dotychczas pamięci, i o tych, którzy już legli w grobach, a których pamięć nigdy w narodzie nie zaginie: o ś. p. ks. prałacie Koźmianie i ks. biskupie Janiszewskim, najwybitniejszych dwóch postaciach, jakoby ze spiżu ukutych, i od nas wszystkich ukochanym, którego zgon niedawno opłakiwaliśmy, o Ojcu wieców naszych, ks. dr. Kanteckim. Cześć ich pamięci i z tego miejsca. Szalona burza kulturkampfu już dawno minęła. Na pogodnem niebie, tu i ówdzie, jeszcze chmurki. Czarne karty ucywilizowanego państwa na zawsze pozostaną w historyi, na wieczną pamiątkę dla przyszłych pokoleń. Wstydzić się będą potomkowie dzieła ojców swoich. Kościół nie upadł, ale spotężniał, na ruinach nowe kwitnie życie, ale jeszcze nie w całej pełni, bo Kościół w pewnych kierunkach objawów życia swego jeszcze nie jest dość wolnym. Nie mamy klasztorów, nie mamy zakonów, prócz Sióstr Miłosierdzia i Służebniczek, daremnie dopominamy się o to — i nasi reprezentanci w sejmie. Socyalizm, ten największy wróg objawionej religii, ba i przyrodzonej, który z otwartą przyłbicą głosi swoje zasady, który walkę wypowiedział na życie lub śmierć ołtarzom i tronom, który zaprzecza całemu normalnemu rozwojowi ludzkości, szerzy się coraz bardziej, i do naszych już zagląda zagród, a jednak wzbraniają wstępu obrońcom tronów i ołtarzy. Zaciekłość konfesyjna, pod sztandarem fałszywego

---

52)

SWAT

Powieść współczesna

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dokończenie).

Hrabia przeszedł się kilka razy po pokoju i, stanąwszy przed kominkiem, wygrzewał plecy. Teraz z kolei on badał wzrokiem Jana, aby wywnioskować, czy tenże snuje jakie domysły. Gdy kamardyner wreszcie z ostatniemi talerzami miał się oddalić, hrabia powiedział:

— Szampan postaw przy łóżku. Niedopitą butelkę na stole... Skończę list i położę się.

— Słucham! — odrzekł sługa.

Ale, gdy brał już za klamkę, pan Artur zatrzymał go słowami:

— Gdyby wypadło ci dziś jeszcze jechać z listem do Warszawy?...

Jan się zawahał.

— Mój pan... bąknął.

— Twój pan! — mruknął hrabia,—nie o niego chodzi... Chciałbym, żebyś zaraz wyjechał.

— W domu prawie nikogo nie ma... Michał...

— Głupstwo! — Chodzi o to, byś list oddał według adresu... to jest, — poprawił się, — dwa listy do dwóch osób... Jedna z nich wypłaci ci zaraz... — Nie skończył frazesu i dodał:

— Po królewsku cię wynagrodzę.

— Słucham!

— Jedziesz?

— Jadę.

— A więc przyjdź do mnie za godzinę.

Po odejściu Jana pan Artur przepisał jeden z listów, poczem wziął dwie koperty, jedną zaadresował do pani Bolskiej, drugą do Jamnickiego.

Przygotował lak i położył obok sygnet dla zapieczętowania listów, a tymczasem, rozsiadłszy się wygodnie w krześle, odczytywał półgłosem, ale wyraźnie, dokument, napisany tegoż wieczora:

„Niniejszem objawiam moją ostatnią wolę. Uniwersalną dziedziczką całego mojego ruchomego i nieruchomego majątku, jaki po mnie w dobrach i kapitałach pozostanie, mianuję hrabinę Maryę z Bolskich Czajską pod tym jednak warunkiem, że ta w ciągu lat pięciu od daty dzisiejszej rozwiedzie się ze swym mężem, Ludwikiem hrabią Czajskim, i wstąpi powtórnie w związki małżeńskie. Gdyby w ciągu lat pięciu hrabina Marya Czajska nie wyszła powtórnie zamąż, w takim razie cały mój majątek ma iść drogą, jakąby poszedł gdybym umarł bez testamentu. W tym razie jednak usuwam od dziedziczenia po mnie hrabiego Ludwika Czajskiego, jakoteż nieletniego syna jego, urodzonego z Maryi Bolskiej, imieniem Artur".

Zarówno treść, jak i forma dokumentu, zadowoliły hrabiego. Tak! dobrze napisał. Gdyby Mariola nie chciała wyjść za mąż dla jakichkolwiek skrupułów, to musi jednak to uczynić dla uratowania fortuny dla Arturka. Jeśli zaś wyjdzie za mąż, to można liczyć dziewięć szans na dziesięć, że będzie szczęśliwa. Pretendentów jej niezabraknie. Wybierze z doświadczeniem...

Zbliżył pismo do oczu i czytał dalej:

„Wykonawcami niniejszego testamentu mianuję panów: Jamnickiego, adwokata, i Bernhardta, mego plenipotenta. Służbie mojej polecam wypłacić każdemu z osobna po rubli dwa tysiące. A prócz tego po takiejże sumie Michałowi i Janowi, lokajowi i kamerdynerowi czajnickiemu, których wszystkich zresztą polecam mej spadkobierczyni, hrabinie Maryi Czajskiej".

Odłożył papier, niedoczytując już kilkunastu końcowych wierszy.

— Dobrze! — szepnął, — dobrze! — i przyłożył wyraźne pieczęcie.

Ponieważ Jan dopiero miał się zjawić po upływie godziny, wychylił resztę butelki szampana, wstał i dołożył sporo polan do komina.

Ogień na nowo buchnął i oświecił jego zaczerwienione od wina oblicze. Hrabia przypatrywał się płomieniom z melancholicznym uśmiechem, pełnym rezygnacyi. Gdy nadszedł Jan, pan Artur skinął, by zbliżył się do stołu, przy którym sam usiadł, i biorąc pióro do ręki, zagadnął:

— Oto się podpisuję na tych dwóch listach; patrz! byś w danym razie poświadczył.

To powiedziawszy, wypisał wyraziste i śmiałe autografy:

„Artur hrabia Czajski."

Zapieczętowawszy listy, oddał Janowi.

— Ruszaj w drogę... i śpiesz się.

Kamerdyner jednak stał oniemiały. Czuł, że bierze udział w jakiejś ważnej sprawie, a domyśleć się niczego nie mógł, i to go napełniało strachem.

Pan Artur powtórzył, wsuwając mu do ręki banknot:

— No! ruszaj...

Został sam. Z pośpiechem rzuciwszy trwożne wejrzenie na ogień, zamknął za kamerdynerem drzwi na dwa spusty, poczem spróbował jeszcze, czy rzeczywiście należycie zamknięte, zdjął wierzchnie ubranie i przystąpił do kominka, w którym właśnie przepalone drzewo zamieniało się już stopniowo w żarzący się węgiel. Uchwycił pogrzebacz o bronzowej rączce i jednem szturchnięciem w stojące jeszcze i palące się jasno-żółte polana, rozbił je w drobne kawałki. Ogień zgasł, drzewo zaczęło migotać fioletowo złotemi błyskami.

Pan Artur pociągnął nozdrzami odurzający wyziew węgla, poczem spuścił staroświeckiego systemu klapę, tak, że gaz całej tej masy żaru wychodził na pokój. W jednej chwili uczuł swąd.

— Dobrze... — pomyślał.

Odszedł od ognia i położywszy się na łóżko, wsunął się w miękką pościel. Nalał szklankę szampana i wychylił ją duszkiem. Po pauzie wypił drugą szklankę, zgasił światło i przytulił głowę do poduszki.

Wino i węgle wkrótce zaczęły działać. Pan Artur czuł coraz większą ociężałość głowy i coraz dziwniejszy w niej szum.

Westchnął i zaśpiewał:

— Hahaha!..

Myślał jeszcze. Gdyby teraz wyskoczył z łóżka i otworzył drzwi, toby jeszcze ocalał. Uczynił ruch nogą, jakby w tym celu, ale się powstrzymał. Należało to wszystko głębiej rozważyć. Jeszcze miał czas, bo jeszcze był przytomny. Gdyby ocalał i żył dalej, to...

. . . .

W wyobraźni jego przesuwały się różne mgliste kombinacye. Mariola odzyskiwała zdrowie, Arturek rósł, hrabia założył ordynacyę i namawiał „gołąbeczkę" do wyjścia zamąż. Mogły nastąpić zmiany, tak pomyślne, że teraźniejszość byłaby zapomniana i naprawiona...

Ocknął się, podniósł głowę, wprawdzie nadspodziewanie ciężką, ale ją podniósł.. Usiadł na łóżku i już wysunął nogi z pod kołdry, gdy uległ dziwnej halucynacyi. Zdało mu się, iż jest w Warszawie u siebie. W przyległym pokoju słyszał najwyraźniej głos Marioli. Deklamowała:

„Maryo! czyś ty nie chora"...

Tak samo, jak wtedy, gdy uciekł od niej do swego gabinetu.

I poemat brzmi mu dalej w uszach, napełnionych dziwnym szmerem. Hrabia wysunięte nogi włożył znowu pod kołdrę i z poczuciem niemiłego nad wyraz zmęczenia wyciągnął się na łóżku.

Czuł, że uśnie, że usnąć musi, a snu tak pragnął. A więc, żeby nie słyszeć tej nieszczęśliwej Marioli, która tam w drugim pokoju tak uporczywie wciąż deklamowała, przycisnął jedno ucho do poduszki, a na drugie z wysiłkiem naciągnął kołdrę.

Jeszcze przez chwilę jedną słyszał Mariolę i — zasnął. KONIEC.

liberalizmu, przeciwna jest temu. Ale my nie poprzestaniemy dopominać się o to zawsze na drodze legalnej, bo to jest obowiązkiem naszym, grzeszylibyśmy, gdybyśmy tego nie czynili.

Także veto ze strony państwa przy obsadzaniu stałem posad duchownych jest jeszcze prawem, chociaż, co przyznać trzeba, łagodnie i bardzo względnie zastosowywanem. Tak jest dzisiaj, ale czy wiemy, jakie będzie jutro?

Szkoła, ta prawdziwa córa Kościoła, nie we wszystkiem jest pod jego opiekuńczemi skrzydłami, bo u nas pod tym względem są jeszcze prawa wyjątkowe. Bardzo mało duchownych katolickich zajmuje posady inspektorów lokalnych, a ani jeden nie jest inspektorem powiatowym. Natomiast każdy superintendent protestancki jest jakby urodzonym inspektorem szkół w swojej dyecezyi. Czyż i my nie mamy prawa domagać się tego?

Następnie wskazał prelegent na stosunek najwyższych władz kościelnych do sfer rządowych, który dziś dzięki Bogu jest znośny. Nie widać dziś bowiem ze strony państwa uprzedzenia i niechęci do Kościoła katolickiego, a obopólne porozumienie się po większej części łatwo przychodzi. Mamy biskupów, którzy jak prawdziwi hetmani stoją na czele armii i gotowi są jako dobrzy pasterze wszystko poświęcić dla swych owieczek. To też życie kościelne rozwija się w całej pełni: mnożą się stowarzyszenia religijne, lud garnie się coraz bardziej do ołtarzy, a obojętność w rzeczach wiary między t. zw. inteligencyą jest coraz rzadsza. Bardzo zbawienny wpływ wywierają także misye i wizytacye biskupów. To też ludność okazuje wielką ofiarność, kiedy idzie o ozdobę świątyń Pańskich mimo krytycznych czasów i płyną obficie składki na cele kościelne, a są i tacy, którzy ostatni grosz wdowi na to dają. Dotkliwie jednak daje się uczuć brak duchowieństwa. Często w jednym dekanacie dwa lub trzy probostwa są nieobsadzone. Boleśną rzeczą jest także, że wielu z braci naszych z klasy robotniczej opuszcza swe ogniska domowe, aby szukać większego zarobku w okolicach prawie czysto protestanckich. Przez to giną niejednokrotnie dla wiary, albo dostaje się w niebezpieczne sieci socyalizmu. Bądź co bądź jednak postęp coraz jest widoczniejszy, w życiu kościelnem objawia się coraz więcej ożywienia — coraz więcej zainteresowania się tem, co dla każdego powinno być najświętsze. Obyśmy dalej tylko szli po tej drodze. Niech każdy spełni swój obowiązek, niech czynnie działa w kierunku kościelnym a o przyszłość obawiać się nie potrzebujemy.

W dalszym toku czcigodny prelegent omawiał szczegółowo położenie Kościoła w każdej z trzech dzielnic Polski, przyczem rzucił wiele bardzo pięknych myśli.

Imieniem zebranych podziękował wicemarszałek mecenas patron Jackowski prelegentowi za jego śliczny wykład, poczem wszedł na trybunę radca dr. Zielewicz i wypowiedział prześliczny wykład o encyklice Papieskiej do biskupów polskich. Rozpoczął go od tego, że już od dawna po pismach, zwłaszcza nieprzychylnych Kościołowi, krążyły pogłoski, jakoby Ojciec św. układał się z rządem rosyjskim w sprawie liturgii kościelnej, jakoby skłaniał się do życzeń tego rządu. Tak krakały złowieszcze kruki, trwogą przejmując serca słabych, ale cały naród czuł, że Ojciec św. na pogwałcenie sumień naszych przenigdy swego przyzwolenia nie da, i tak się stało, że dziecięca ufność narodu naszego w macierzyńską pieczołowitość Stolicy św. nie zawiodła nas.

W encyklice do biskupów polskich Ojciec św. z taką serdeczną ku narodowi naszemu odzywa się miłością, takby rad dać nam do zrozumienia, że zna i czuje wszystkie troski i bóle i wszystkie nadzieje nasze, tak mu pilno pocieszyć nas, dodać zakordonowej braci naszej męztwa i odwagi w znoszeniu jarzma ucisku — a z drugiej strony tak mądrze i przezornie umie się skarżyć przed całym światem na ciemięztwo i pogwałcenie sumień wiernych synów swoich, że Bogu za to Najwyższemu dziękować, iż za Jego wszechmocnem zrządzeniem, właśnie w stuletnią rocznicę politycznego upadku naszego taka nam się dostała pociecha. W pokutniczej doli porozbiorowych dziejów naszych z różnych stron i w różny sposób objawiano nam swoje współczucie: jedni potężni mocarze głośno wzywali nas pod broń za naszą jakoby sprawę, drudzy buńczucznie wołali: „Kongres albo wojna", nas niby zaś mając na myśli, a i inni znowu w parlamentach i na mityngach pobrząkiwali szabelką — ale jedni i drudzy albo wprost postępowali nieszczerze, albo o swoich sympatyach dla Polski prędko zapomnieli. Jedna tylko z potęg tego świata pozostała nam wierną w zmiennej losów naszych kolei, a tą jest Stolica Apostolska. W czasach świetnych powodzeń oręża naszego — czy to po chocimskiej czy po wiedeńskiej wiktoryi, — gdy Polska zwycięzkie sztandary na pohańcach zdobyte, składała u stóp Namiestnika Chrystusowego, błogosławił on narodowi naszemu jako przedmurzu chrześcijaństwa — później, gdy miecz stępiał, a sąsiedzka uprzejmość i własny upadek moralny pozbawiły nas bytu politycznego, ile się razy Polska we wdowich szatach swoich zbliżyła do progów apostolskich, zawsze ją tam witano nie gorzej jak inne, szczęśliwsze narody, a żegnano serdeczniejszem niż innych słowem pociechy, zachęty i mądrej rady.

Dziś w oczach Europy nie ma Polski wcale — a to, co z niej pozostało, urągowiskiem jest narodów, jak nam przepowiedział Skarga — a że my i tą ciężką żywotą, która nam pozostała, żyć chcemy i żyjemy, przeto dzisiejsza polityka „siły przed prawem" gniewa się, że grób nasz jeszcze trawą nie porósł, więc chciałby nas milczeniem zbić, aby nawet imienia Polski nikt nie wymówił głośno.

Tymczasem z wyżyn Watykanu odzywa się potężny głos Ojca chrześcijaństwa, — głos, którego nikt niedosłyszeć nie może — a odzywa się do Polaków i do tej Polski, której wprawdzie na mapie Europy niema, ale która, acz na trzy prowincye sąsiednich państw rozdzielona, stanowi jednak w oczach Ojca św. jeden naród pochodzeniem, językiem i obrządkiem religijnym (*genere, sermone, religioso ritu*) według praw boskich w jedną całość związany i jako taki mający prawo do bytu. Nie ignoruje oczywiście Ojciec św. podziału politycznego, ale całość narodu pojmuje na podstawie historycznego rozwoju takim, jakim go stworzyły dzieje, takim on się objawia w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości — takim z lubością wyśli, takim go tuli do swojego łona. W obec całego świata więc Ojciec św. głosi, że jest, i że naród polski — jako dzieło Boże, na które bezkarnie nie wolno się targnąć nikomu. Potężny głos Namiestnika Chrystusowego rozgłośnem echem odbił się o sklepienie niebios i o tron monarszy — a dla serc naszych — w smutnych rozpamiętywaniach smutnej rocznicy naszego upadku — stał się jasnym promieniem pociechy i świetlaną gwiazdą obecnej doby dziejów naszych, za co Polska cała, jak długa i szeroka, u stóp Ojca św. z wdzięcznością i uwielbieniem w proch się korzy.

Skonstatowawszy w obec całego świata fakt naszego istnienia jako narodu, Ojciec św. z niezrównaną uprzejmością podnosi zasługi nasze dziejowe, mówiąc o przywiązaniu naszem do wiary ojców i o bohaterskich potrzebach, w których przodkowie nasi piersiami swemi zasłaniali chrześcijaństwo przed zalewem dziczy. Stąd dla nas znów wielka pociecha. Bo przecie wiemy, że o tych dziejowych Polski zasługach coraz mniej w świecie słychać, a polityczni dzisiejsi sędziowie o nich wiedzieć nie chcą — więc gdy Ojciec św. łaskawie daje nam znać, że Kościół, którego On jest głową, o tych zasługach naszych pamięta, to spodziewać się możemy, że i u Boga, którego On zastępcą na ziemi, będą nam policzone.

Więc bracia rodacy — jakiekolwiek były grzechy przodków naszych, a to pewna, że nigdy się te grzechy na krzywdę innych, chyba tylko na własne pogrążenie nasze obracały — jakkolwiek mieliśmy niejedną ciemną kartę w dziejach naszych — pokutujemy dziś za to i Bogu tylko wiadomo, jak długo jeszcze pokutować będziemy — ale mieliśmy też w rachunku naszym i czyny ważkie i świetne, a z nich te przedewszystkiem wysoko sobie cenić musimy, które z nas zrobiły zasłużonych synów Kościoła, bo kiedy z dziejowej chwały Polski zszedł prawie całkiem i obecny blask, to Kościół jeden o niej pamięta, uznaje ją głośno i każe innym uznawać jako ten skarb najdroższy, który po zatracie bytu politycznego jest jedynym, ale niemniej realnym bytem naszym. Więc trzymajmy się mocno Kościoła, bo on w rozbiciu naszem jedyną stanowi twierdzę, pod której osłoną zawsze skupić się możemy w obronie nietylko wiary, ale i narodowości.

A że nam — jeżeli pozostaniemy wiernymi dotychczasowej tradycyi dziejowej — nie zabraknie opieki Ojca chrześcijaństwa, możemy być tego pewni, bo oto Ojciec św. wyraźnie mówi: „Zaprawdę, nie zaniedbaliśmy poprzednio niczego, o ile to od Nas zależało, świętym jej (Polski) sprawom dopomódz; to uczynić jak najbardziej pragniemy i skuteczniej niniejszem dokonać zamierzamy: z tej mianowicie przyczyny, aby troskliwości Naszej o Was jawniejsze w Kościele pozostało świadectwo.... Niechaj ten Bóg, który Nas do przemówienia pobudził, pobłogosławi łaskawie..."

W dalszym toku przedstawił prelegent niezmiernie donosłe polityczne znaczenie encykliki Ojca św., wyłuszczył w formie porywającej, jak cudownie Pasterz najwyższy przedstawia stosunek władzy Kościoła do władzy państwa, jak potępia w niej t. zw. „racyę stanu" rządów, które wrzekomo w imię całości państwa gniotą obce w skład organizmu państwowego wchodzące narodowości, jak przypomina rządom, że sprawiedliwość winna być ich podstawą i jak z drugiej strony naucza nas, że poszanowanie prawa i władzy jest podstawą wszelkiego ładu społecznego i państwowego.

„*Czy może* — rzekł prelegent — *przypomnienie tej starej i wypróbowanej prawdy jest dla nas Polaków zbyteczne, czy nam może przychodzić nie w porę? O! i nie zbyteczne i w porę przychodzi, bo jeżeli któremu narodowi, to nam ciągle przypominać trzeba, że anarchia nas zgubiła, że upadek nasz polityczny początek wziął od podkopywania władzy, którąśmy sami sobie ustanowili, że w porozbiorowych dziejach naszych były czasy ogólnego prawie przekonania, że „konspiracya" to najdoskonalsza forma wszelkiej roboty patryotycznej. A w tej drodze doszliśmy do tego, że i dziś, gdy jedni nawołują do spokojnej pracy narodowej na podstawie istniejącego prawa, drudzy tamtych mają za wsteczników i z okrzykiem: „Ducha nie gaście!" rzucają się w wir hałaśliwej gazeciarskiej blagi lub wprost zgubnych demonstracyi, jakgdyby obrona naszej narodowości w którejkolwiek z dzielnic rozbiorowych była inaczej możliwą, jak przez systematyczną pracę nad umoralnieniem, oświatą i dobrobytem całego naszego społeczeństwa*".

Więc chciejmy zrozumieć głos Ojca św. i niech się nauczymy, że można być dobrym Polakiem, a przytem szanować obowiązujące prawa i władzę, którą Bóg nad nami ustanowił, skoro wiemy, że często uznawać i skuteczniej poparcia dać nie umieliśmy, za co dziś tak ciężko pokutować musimy".

Gdy prelegent kończył swój prześliczny wykład wszyscy powstali z miejsc, a następnie za czcigodnym radcą Zielewiczem z nieopisanym entuzyazmem wznieśli trzykrotny okrzyk na cześć Ojca św.

Uchwalono także na wniosek marszałka wysłać do Ojca św. telegram dziękczynny za tę encyklikę i za ojcowską pieczołowitość, jaką otacza nasz naród.

Na tem zamykam me sprawozdanie. W następnym liście podam dalszy ciąg wczorajszego posiedzenia, a mianowicie świetne przemówienie ks. Wolszlegiera o kwestyi socyalnej i dr. Dziembowskiego o szkołach tudzież przebieg obrad w sekcyach.

MAŁY FELJETON.

Z tematów końca wieku.

Z cyklu nowel J. H. Rosny'ego powieściopisarza francuskiego bierzemy jedną, bardziej, niż inne, charakterystyczną pomysłem i wykonaniem:

„Byłem szczęśliwym narzeczonym bardzo pięknej dziewczyny. Gdyby nie osobliwy charakter mojej narzeczonej, niceby mi do szczęścia nie brakowało. Mówiła do mnie bardzo rzadko, traktowała mnie z niedowierzaniem, każde słowo swoje otaczała mgłą pewnej drażniącej tajemniczości. Ale za to miała parę przepysznie błękitnych ocząt, płeć lilii co dopiero rozkwitłej a rysy Madonny.

Kochałem ją tak bardzo, tak silnie byłem rozmiłowany w jej piękności, żem jej wybaczał ekscentryczność postępowania. Nie miałem nawet pewności, czy za moją miłość wzajemnością mnie darzy. Pytałem się o to niekiedy, ale nie dostawałem odpowiedzi. Mówiła mi, że sama nie wie, że ślepo ufa wyborowi rodziców, że nie czuje do mnie wstrętu, że to wystarcza do zawarcia związku małżeńskiego.

Naprożno prosiłem, błagałem naprożno, wyrafinowanemi podstępami starałem się doprowadzić moją narzeczoną do dania mi jakiegoś najpowierzchowniejszego dowodu uczucia, pozostawała zawsze zamkniętą w sobie, chłodną, nieufną. Zamiast chłodnąć, kochałem ją coraz silniej.

Pewnego dnia w licznem towarzystwie byliśmy wraz z narzeczoną moją w gościnie u bogatych krewnych. Wieczorem, gdy dziewczyna moja stawała się coraz chłodniejszą i coraz bardziej zagadkową, wyszedłem na taras i siedziałem tam sam jeden, patrząc w gwiazdy i słuchając szmeru drzew w przednocnej porze. Nagle doszedł uszu moich niezwykły ruch i gwar z salonu. Powróciłem tam i znalazłem całe towarzystwo wzburzone i strwożone.

— Co się stało?

— Brylanty pani Despares zginęły! Brylanty warte magnackiej fortuny!

Zwołano służbę do przyległego pokoju i postanowiono dopełnić ścisłej rewizyi. Pana de la Hestre, dymisyonowanego oficera, uproszono jednomyślnie, aby zajął się rewizyą nietylko służących, ale i nas wszystkich. Na pierwszy ogień szła służba, potem nam miano przetrząsać kieszenie.

W gruncie rzeczy obojętnie przyjąłem do wiadomości ten fakt kradzieży, a później rewizyi. Byłem jeszcze pijany smutnemi myślami. Usiadłem w głębokim fotelu i czekałem mojej kolei. Nagle uczułem dotknięcie w ramię. Zwróciłem głowę i ujrzałem narzeczoną. Zdawało mi się, że ma łzy w oczach i drży ze strachu.

— Jeżeli mnie kochasz — rzekła do mnie cichym głosem — postaraj się, żeby cię zrewidowano przedemną. Potem podejdź niepostrzeżenie do mnie i staraj się ukryć przedmiot, który ci podam.

Krew skrzepła mi w żyłach. Patrzałem w osłupieniu na dziewczynę. Ale gdym spotkał jej oczy łzami zalane i prośbą błagalną wymowne, zdobyłem się tylko na szept cichy:

— Stanie się, jako chcesz.

Powstałem z fotelu... Nogi uginały mi się w kolanach, zimny pot zlewał mi czoło. Gdyby ktoś zapytał mnie o coś w tej chwili, nie byłbym w stanie wydobyć głosu z gardła. Obok przerażenia ogarniał mnie wstyd. Rozum mówił mi, żem powinien pogardzać tą dziewczyną, ale serce zaskoczone znienacka, nie przemawiało słowami rozumu Przez krótką chwilę w straszliwej walce ze sobą samym, przewinęły mi się przez mózg setki argumentów: że popełniam podłość, że piękność nie jest w stanie pokryć brzydoty duszy, że oprócz zaślepionej żądzy nic mnie jeszcze z tą istotą nie wiąże, żem się powinien co prędzej wycofać z fatalnego położenia. Ale mi sił do tego brakło.

Dziewczyna nie spojrzała nawet na mnie. Oparta o kominek, stała chłodna jak zawsze, niedostępna jak zawsze, dumnie przed siebie patrząca, jak zawsze.

Nagle rzekła głośno:

— Jakże to trwa długo!...

— A ktoś dorzucił:

— Pan de la Hestre robi rzecz sumiennie.

Wreszcie skończono ze służbą. Serce mi biło jakby młotem, gdym się wysunął na środek salonu prosząc, aby odemnie zaczęto. Pan de la Hestre, uśmiechnął się i rozpoczął skrupulatne poszukiwania moich kieszeni. Czułem, że ognie biły na mnie, że staję się bladym jak kreda, to znowu jak rak czerwonym. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, a zresztą choćby nawet zwróciło, nie zdziwiłoby nikogo. Boć nie codzienną było mi rzeczą: stać na środku salonu, gdy ktoś z skrupulatnością policyanta przetrząsa moje kieszenie. Wreszcie skończyła się rewizya. Cofnąłem się o kilka kroków i stanąłem tuż koło mojej narzeczonej. Rozpostarła wachlarz i za wachlarzem podała mi pudełeczko. Gdyby nie to, że zęby ścięły mi się z przerażenia, byłbym zawołał: „Gwałtu!" i cisnął pudełeczko do stóp pana de la Hestre. Narzeczona moja odeszła odemnie. Odtąd byłem jedynie biernym świadkiem, wyłączonym ze wszelkich podejrzeń.

Rewizya ciągnęła się dalej bez skutku. Wszyscy z gorączkowym pośpiechem poddawali się oględzinom. Pan de la Hestre z panem domu wyszli, aby zrewidować pokoje służby. Pozostaliśmy sami.

Wzruszenie i rozdrażnienie moje doszły do szczytu. Gorączkowo ściskałem w dłoni fatalne pudełko.

Narzeczona moja podeszła znów do mnie. Chciałem się odsunąć, ale uparcie przysuwała się do mego boku. Spojrzała mi prosto w oczy tak jakoś jak nigdy nie patrzyła na mnie. Potem spytała cicho:

— Kochasz mnie jeszcze?

Odrzekłem bez wahania, jakby zahypnotyzowany temi błękitnemi oczyma.

— Tak.

— Pomimo to?

— Pomimo to.

— Ożenisz się ze mną?

— Ożenię się... Ale.

W tej chwili dał się słyszeć gwar w dalszych pokojach. Pan de la Hestre wszedł do pokoju i z dumą pokazywał obecnym brylanty. Złodziejem był służący, który zdążył łup ukryć w swoim pokoju.

A zanim zdążyłem zoryentować się w położeniu, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się w koło mnie działo, uczułem, że ręka mojej dziewczyny opiera się na mojem ramieniu.

Wyprowadziła mnie na taras, gdzie zupełne już panowały ciemności. Ujęła głowę moją w obie swoje dłonie i całując mnie pocałunkiem, który mi palił duszę, szepnęła:

— Kocham cię"...

Czyż to nie temat z końca wieku?

Arcyksiąże na wystawie.

Przez całe wczorajsze popołudnie padał drobny kapuśniaczek i wytworzył na wzgórzu wystawowem mokrą, przykrą, londyńską mgłę, rzucając wśród niej od czasu do czasu grubemi kroplami. Mimo tej okropnej pogody, arcyksiąże Karol Ludwik ani myślał ruszać się z wystawy. O godzinie 1 w pierwszorzędnej restauracyi Zogelmanna wydał arcyksiąże śniadanie dla oficerów 7 pułku ułanów, którego jest właścicielem. Podczas uczty wzniósł dostojny gość zdrowie pułku, a następnie pułkownik Nachodsky na cześć arcyksięcia wzniósł toast, przyjęty przez zebranych z ogromnym zapałem.

Potem nastąpiło dalsze zwiedzanie wystawy. Po pawilonie naftowym oprowadzał arcyksięcia p. Gorayski. Arcyksiąże rozmawiał tu z wybitnymi naszymi naftciarzami pp. Trzecieskim, Szczepanowskim, Wiktorem i oglądał zawieszone na ścianach portrety pionierów tego przemysłu u nas. Koło głębokiego wiercenia zatrzymał się długą chwilę, rozmawiał z p. Syroczyńskim i p. Lipińskim, który ze swej fabryki w Sanoku dostarczył maszyn dla wykonania tego wiercenia. Również zajęła dostojnego gościa maszyna Galveya opisywana przez p. Bergheima i okazy wosku ziemnego z borysławskich kopalni.

Od pawilonu naftowego brzegiem, ponad park stryjski udano się do działu etnograficznego. Po drodze na skręcie, pod krzyżem z „męką Pańską" siedział *did* i przygrywając na lirze, śpiewał charakterystyczne dumy i legendy. Arcyksiąże nie zważając na deszcz zatrzymał się koło niego, a potem polecił swemu adjutantowi, aby dziada obdarzył sztuką złota.

Dalej pod przewodnictwem prof. Szuchiewicza, referenta działu etnograficznego, zwiedzano dworek szlachecki, zawierający etnograficzną wystawę, chaty wieśniacze i cerkiewkę mieszczącą zbiory przyborów cerkiewnych. — Wszystkie te budowle podobały się bardzo arcyksięciu jako bardzo charakterystyczne i wcale nieidealizowane. Bardzo pochwalił to, że wzniesienie ich oddano samym wieśniakom. W chacie z powiatu sokalskiego, wzniesionej przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego rozmawiał z nim długo.

Bardzo dobre wrażenie na arcyksięciu zrobił pawilon „Pracy kobiet", który objaśniała p. dyrektorowa Marchwicka i przedstawiła dostojnemu gościowi referentki poszczególnych oddziałów pp. Obtułowiczowę, Wiczkowską, Jeleniowe, Wernerową, a wreszcie p. Bolesława Lewickiego. Arcyksiąże zwróciwszy uwagę na nalewki owocowe Streptowskie, nalewki p. Irsay i trzecie, wyrobu p. Younga, najżywiej zainteresował się wzorami urządzenia pokoju: mężatki, małego, starszego dziecka, a wreszcie młodej panienki. Długo go potem zatrzymał dział haftów i koronek. W ogóle koronki, wystawione w tym pawilonie podobały się bardzo, a nawet minister Falkenhayn zakupił sporo koronek wyrabianych w Bobowej.

W pawilonie ruskim, gdzie się mieści zbiorowa wystawa Towarzystwa Szewczenki, Proświty, Zorii, Dniestru i redakcyi *Diła* objaśniali Arcyksięcia ks. prof. Ogonowski, prof. Szuchiewicz i p. Władysław Fedorowicz, którego kilimkom, wyrabianym w Oknie, poświęcił Arcyksiążę najwięcej uwagi.

Stąd na zaproszenie marszałka kraju ks. Sanguszki wstąpił Arcyksiążę do jego pawilonu i tu długo z nim rozmawiał koło okazów nasion, gospodarstwa rybnego, leśnego, trofeów myśliwskich i okazów węgla kamiennego. Na koniec przyjął z rąk ks. Sanguszki lampkę dziewięcioletniego miodu podhoreckiego, który smakował Arcyksięciu bardzo, tak, że wychodząc z pawilonu kilkakrotnie z naciskiem powtórzył *trés bon*.

Wczorajsze zwiedzanie wystawy skończono w pawilonie łowiecko-myśliwskim, gdzie członkowie tej sekcyi oczekiwali Arcyksięcia z pp. Matkowskim, hr. Szembekiem i prof. Tynieckim na czele. Tu zatrzymano się przed trofeami myśliwskiemi: ks. Adama Sapiehy, hr. Badeniego, Towarzystwa Lisowieckiego, panów Bielskich, hr. St. Stadnickiego, Towarzystwa św. Huberta i wystawę broni Dzikowskiego i p. Pieleckiego. Mimo, że cały niemal dzień spędzony na pilnem oglądaniu wystawy musiał znużyć Arcyksięcia, dobry humor nie opuszczał go ani na chwilę. Tak np. podziwiając wypchane dziki ustrzelone przez namiestnika hr. Badeniego, zapytał go czy do dóbr jego, Buska, dziki zachodzą z obcych lasów czy tam się gnieżdżą, a kiedy hr. Badeni odparł, że ma w swoich lasach dziki (po niemiecku *sind zu Hause*) dodał z uśmiechem żartobliwym Arcyksiążę: „*Also es sind Hausschweine aber noch wild*".

O godzinie kwadrans na ósmą zaprzestano zwiedzania wystawy. Dziś wcale już nie miał być Arcyksiąże na wystawie, ponieważ jednak chciał jeszcze być w kilku pawilonach, zapowiedział na dziś rano swe przybycie. „Tylko — dodał na wyjezdnem — tu we Lwowie bardzo późno się wstaje, nie jestem do tego przyzwyczajony, dlatego jutro będę na placu już o trzy kwadranse na dziewiątą".

* * *

Dziś zwiedzanie wystawy rozpoczął Arcyksiążę o godzinie 9 od pawilonu sanitarnego. Członek Wydziału krajowego Hoszard pokazywał i objaśniał Arcyksięciu wystawę sanitarną, urządzoną przez Wydział krajowy; znakomity bakteryolog i prosektor uniwersytetu lwowskiego dr. Krokiewicz pokazywał swe preparaty bakteryologiczne. Arcyksiążę przypatrywał się tym preparatom z żywem zajęciem i wielkie pochwały oddawał drowi Krokiewiczowi. Bakteryi, znalezionych przez dra Krokiewicza w wodzie lwowskiej, jest przeszło 60 gatunków. Protomedyk dr. Merunowicz przedstawił mapy, wygotowane przez krajową Radę zdrowia, przedstawiające graficznie rozwój rozmaitych chorób w Galicyi i śmiertelność w niej.

Dalej zwiedził Arcyksiążę dział balneologiczny, podziwiał atlas anatomiczny prof. dra Laskowskiego z Genewy; o pracy tej z wielkiem wyraził się uznaniem, przypatrywał się wystawie OO. Bonifratrów z Krakowa i przeorа tego zakonu ks. Laetusa Bernatka wypytywał się, ile OO. Bonifratrzy mają szpitali, ilu lekarzy i t. d.

W oddziale aptekarskim przypatrywał się wystawie starych ksiąg aptekarskich, nadesłanych na wystawę przez galicyjskie Towarzystwo aptekarskie i wyrobom aptekarzy Haya i Zahradnika.

Z pawilonu aptekarskiego przeszedł Arcyksiążę do hali maszyn, po której oprowadzał

96.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Przypomniała jej się w pierwszej chwili ponura powieść o żonie księcia Mentu-Hotepa i zrozumiała to, czego chciał poeta, który tę powieść skreślił; przypomniały jej się słowa i nauki Meri-Pachty, owej niewiasty przebywającej już za życia w grobie i była krótka chwila, w której zatęskniła do głuchego pokoju trumien. Potem ozwały się w jej piersi echem owe pieśni pobożne kapłanów, których wpierw nie pojmowała i poświęcenie całopalne dla Boga zawołało na nią, jako jedyne źródło pociechy; ale krew młoda i żądza życia odniosły zwycięstwo i zażądały zemsty, niecąc w jej piersi dziką nienawiść dla wszystkiego, co ją otaczało. W chwili, w której wyszła z pierwszego osłupienia, w chwili, w której zaczęła udawać wesołą, rozbawioną, trzpiotowatą prawie uczestnicę dworskiej zabawy, zapanowało w niej wszechmocnie przekonanie, że jedną tylko miała przyjaciółkę, o którą warto było stać i że tą jedyną przyjaciółką była grecka niewolnica, Elpinoe. Ona jedna mówiła jej prawdę, ona miała słuszność, kiedy gardziła wszystkimi Egipcyanami, kiedy przeczyła temu, aby mogła istnieć cnota w Egipcie, aby mogli być w Egipcie bohaterowie. Wszyscy Egipcyanie byli łotrami i niewolnikami, na których warto było splunąć, a dzielni ludzie, pośród których można żyć, istnieli chyba na wyspach północy.

A jej rodzice czemże byli? Straszno było potępić rodziców. A jednak życie ojca stanęło teraz przed oczyma Hesz-Akery w nowem a szkaradnem świetle. Człowiek ten przechodził ze stronnictwa do stronnictwa, zdradzając bezczelnie, aby się zachować przy majątku i znaczeniu, porzucił ukochaną żonę, aby się przypodobać królowi, a potem sponiewierał brakiem zaufania drugą żonę, jej własną matkę. Ta matka nie była Egipcyanką, więc może była więcej wartą. I to nie, bo jakiejże trzeba było podłej duszy, aby pozostać w domu, do którego Amenemha sprowadził na powrót pierwszą swoją żonę? Wszyscy ci ludzie Amenemha, Hanna, Meri-Pacht byli zarówno nikczemnymi. Każdy mieszkaniec Egiptu musiał się stać podłym, czy pochodził z krwi egipskiej, czy hebrajskiej. Na to, aby się nie stać podobną do tych, których Elpinoe nazywała psami egipskimi, trzeba było uchodzić na wyspy północy. Elpinoe spotkała w Tebach jakiegoś greckiego bohatera, swojego dawnego narzeczonego, owego Diomedonta, który ją miał wykupić i odwieść z powrotem na wyspy Grecyi. Trzeba było, trzeba było koniecznie, aby ją Elpinoe zabrała z sobą do swojej północnej ojczyzny. Tego jej Greczynka nie odmówi, bo ta Greczynka sama jedna była jej prawdziwą przyjaciółką, bo sama jedna ją przestrzegała przed owym zdrajcą Setim, za którego właśni rodzice chcieli ją wydać, przez próżność i nikczemność egipską.

Noc była, kiedy Hesz-Aker wracała do domu na łodzi mknącej cicho po kanałach nilowych. Słychać było tylko jednostajny plusk wioseł. Mąż, żona i dziecko siedzieli obok siebie na cichej, wytwornej łodzi, a gorycz gryzła ich serce. Gorycz ta była tem nieznośniejszą, że nie było między nimi ani miłości, ani zaufania. Siedzieli obok siebie milcząc, a każde z nich szarpało na osobności swoje serce.

ROZDZIAŁ XIV.

Przyjazd Har-Menkego.

Elpinoe nie wychodziła tego dnia wcale; daremnie na nią czekał Diomedon przy sadzawce, daremnie czatował na nią Toko ukryty w kłąbie, daremnie chciał ją odszukać Abibaal, zgodnie z układem dnia poprzedniego, kiedy wracał ze schadzki, którą miał w mieście z Achabem. Wszedł do miejsca otoczonego kłąbem i widząc Diomedonta domyślał się, że Elpinoe nadejdzie, a zjawienie się jego zbudziło największe oczekiwanie u Toka. Oczekiwanie to jednak zawiodło. Mówiono wprawdzie Grekom, że Abibaal jest w spisku, ale nie znosił się z nimi bezpośrednio przez ostrożność i dlatego, że chciał umożliwić ostateczną zdradę, którą układał sobie w cichości serca. Bez potrzeby nie zagadnął tedy Diomedonta, który go wcale nie znał z twarzy, posiedział trochę na ławce czekając, a potem odszedł.

Elpinoe chodziła po pałacu niespokojna, gorączkowa, oglądając się co chwila za tem, czy kto jej nie szpieguje? W tym stanie doczekała się powrotu Hesz-Akery i jej rodziców, a kiedy zobaczyła wyraz dziewczęcia, zrozumiała od razu, że stało się coś niezwykłego, że jakiś cios trafił w córę Amenemhy i nie wiedząc dobrze dla czego, lękała się sama o siebie.

Obie towarzyszki pozostały niebawem same w sypialni Hesz-Akery. Egipcyanka patrzała długo w oczy Greczynki, stojąc i zarumieniona gorączką, a Greczynka stała naprzeciw i drżała o siebie; spodziewała się w każdej chwili, że usłyszy wyrzuty za zdradę i spiski, a takie wyrzuty byłyby dla niej wyrokiem śmierci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

go inżynier Niemehsza. Tu przypatrywał się maszynom wystawionym przez rozmaite firmy i wagonowi, wystawionemu przez fabrykę Lipińskiego w Sanoku. Pytał, gdzie fabryka ta dostarcza wagonów; bardzo się zainteresował aparatami gorzelnianymi, wystawionemi przez firmę: Urbanowski, Romocki i Spk. w Poznaniu i pochwalił wyroby tej fabryki.

Po oddziale kolei państwowych, urządzonym przez inżynierów pp. Wechsa ze Lwowa i Winklera z Krakowa, oprowadzał Arcyksięcia dyrektor kolei p. Deyma. Arcyksiążę z wielkiem zainteresowaniem przypatrywał się modelowi dworca głównego we Lwowie, który w roku przyszłym będzie przebudowany, modelowi kolonii robotniczej w Nowym Sączu, zbudowanej przez kolej państwową w latach od 1890 do 1892, rysunkowi mostu nad Prutem koło Jaremcza, który będzie miał największą rozpiętość ze wszystkich mostów na świecie, bo aż 65 m., i przy tej sposobności zapytywał p. Namiestnika, kiedy kolej ta będzie gotową. Dalej oglądał wagony wykonane w warsztatach kolejowych we Lwowie i w Nowym Sączu, wszedł nawet i dokładnie obejrzał wewnątrz wagon salonowy, zbudowany w Nowym Sączu. Przypatrywał się także modelowi budynku administracyjnego dyrekcyi kolei państwowej w Krakowie, zrobionemu przez urzędnika kolejowego p. Ludwika Kuszpecińskiego z 600.000 sztuk korkowych cegiełek o 3 milimetrach grubości.

Następnie zwiedził pawilon maszyn fabryki Zieleniewskiego w Krakowie i wyraził się bardzo pochlebnie o wyrobach tej fabryki. P. Namiestnik przedstawił Arcyksięciu p. Zieleniewskiego i wspomniał, iż jest on szwagrem p. Alfreda Szczepańskiego, senatora polskiego i prezesa i sekretarza Landerbanku. Wyszedłszy z pawilonu p. Zieleniewskiego podążył Arcyksiążę do pawilonu tłumackiego. Po drodze spotkał prezydenta miasta p. Mochnackiego, ubranego w strój polski, z odznaką prezydenta na szyi. Zatrzymał się więc chwilę i zapytał p. prezydenta, co to za oznaka i jaki jest herb na niej wyryty. W pawilonie tłumackim dawali Arcyksięciu objaśnienia pp. Szczepanowski i dyrektor cukrowni tłumackiej p. Wolter. Arcyksiążę oglądał model cukrowni tłumackiej, przypatrywał się graficznemu przedstawieniu rozwoju fabrykacyi cukru w Galicyi, a w końcu wpisał swe imię do księgi pamiątkowej. Według przedstawienia graficznego najbardziej rozwinięta fabrykacya cukru w Galicyi była w r. 1840, następnie w skutek braku komunikacyi cukrownie zamarły.

Z kolei przeszedł arcyksiążę do pawilonu motorów i do oddziału węgierskiego, gdzie dość długo przypatrywał się okazom wystawionym przez węgierskich przemysłowców. Zwiedzał także dział maszyn, wystawiony przez fabryki reprezentowane przez gal. akcyjne Towarzystwo handlowe.

Ztamtąd pojechał do pawilonu Matejkowskiego, po którym go oprowadzał prof. Sokołowski z Krakowa. W pawilonie tym nie były jeszcze porozwieszane wszystkie obrazy; wisiało zaledwie kilka. Arcyksiążę przypatrywał się im z wielkiem zajęciem i zapytywał, co przedstawia „Rejtan", „Hołd pruski", „Konstytucya 3. maja", „Bitwa pod Grunwaldem" i niedokończony obraz niezapomnianego mistrza pt. „Śluby Jana Kazimierza". Objaśnienia dawali p. Namiestnik i prof. Sokołowski. Na tym pawilonie zakończył dostojny gość zwiedzanie. Nim opuścił plac wystawy pożegnał się serdecznie z ks. Sapiehą, St. hr. Badenim, dr. Marchwickim i innymi członkami komitetu wystawowego.

Żegnając się z drem Marchwickim, rzekł: „Bardzo się cieszę z przyjęcia, jakie mi panowie zgotowaliście. Przez urządzenie wystawy dokonaliście dzieła olbrzymiego. Opowiem o wszystkiem Cesarzowi. Panorama bardzo mi się podobała; wkrótce przyjadę tu z żoną i raz jeszcze zwiedzę całą wystawę". Stanisława hr. Badeniego pożegnał temi słowy: „Nie zapomnę nigdy o tej świetnej wystawie i o panoramie, która jest prześliczną". W końcu pożegnawszy raz jeszcze wojskowym ukłonem wszystkich obecnych, wsiadł z p. Namiestnikiem do powozu i pojechał do hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, aby zwiedzić jego muzeum.

W muzeum zabawił około pół godziny, zwiedził je całe dokładnie i był zdziwiony jego bogactwem. Wszedłszy do pracowni hr. Dzieduszyckiego, obejrzał tam jego bibliotekę i zbiór portretów, zapytywał, kogo który portret przedstawia, a w końcu zapisał się w książce pamiątkowej na tej samej stronie, na której podpisał się był już raz przed 14 laty, w roku 1880. Zobaczywszy swój dawny podpis rzekł: „Mój Boże, jak to czas szybko leci!" Na tem skończył zwiedzanie muzeum i odprowadzony przez hr. Dzieduszyckiego do bramy, wsiadł z p. Namiestnikiem do powozu i odjechał. Licznie zebrana przed pałacem hr. Dzieduszyckiego publiczność, wzniosła na cześć Arcyksięcia huczny okrzyk „Niech żyje!"

Dziś o godzinie 3-ciej po południu, Arcyksiążę żegnany na dworcu przez p. Namiestnika, księcia Sapiehę, prezydenta Mochnackiego i innych dygnitarzy krajowych, autonomicznych i wojskowych, odjechał pociągiem pospiesznym do Wiednia.

KRONIKA.

Lwów 8 czerwca.

JE. p. Apolinary Jaworski, minister dla Galicyi, wyjeżdża jutro do Wiednia.

Upominek arcyksiążęcy. Dyrektor urzędów pomocniczych namiestnictwa Arnold Des Loges otrzymał od arcyks. Karola Ludwika w upominku, za pełnienie obowiązków przy urzędzie ochmistrzowskim, złoty zegarek z cyfrą Najj. Pana wraz z łańcuszkiem.

Ślub. W sobotę 9 czerwca o godzinie 7 wieczór w kościele Maryi Magdaleny we Lwowie odbędzie się ślub panny Stanisławy Futyówny, z p. Antonim Banichem, lekarzem powiatowym w Zaleszczykach.

Okradzenie prokuratoryi. Prokuratoryę państwa we Lwowie okradł jakiś złodziej. Wyłamał drzwi i zabrał 20 zł. gotówką oraz mundur woźnego.

Wyjaśnienie. Piszą nam: W numerze 128 *Przeglądu* w artykule opisującym zwiedzanie wystawy przez arcyksięcia Karola Ludwika przez pomyłkę podano, że kiosk koszykarski ozdobiony kwiatami jest wyrobem Towarzystwa koszykarskiego w Wiązownicy. Uprasza się o sprostowanie, że jest to wystawa sztucznych kwiatów z mojej pracowni, a nie wystawa koszykarska. Kiosk, w którym kwiaty są umieszczone, jest jedynie według rysunku i kompozycyi przezemnie podanej i przezemnie zamówionej w wiązowni kim towarzystwie koszykarskiem i sam nie jest wcale przedmiotem wystawy. Z stają z wysokim szacunkiem *Sabina Teodorowiczowa.*

Awantury teatralne. Z Krakowa donoszą, że teatr tameczny jest w kompletnem rozbiciu. Reżyser p. Kotarbiński otrzymał dymisyę od swego szwagra p. Pawlikowskiego, nadto otrzymało dymisyę kilka najmłodszych i najładniejszych artystek, które zanadto wysoko były cenione przez samego dyrektora, co skłoniło podobno jedną z dam do samobójczych zamiarów, a wywołało kolosalny policzek wymierzony jednemu z najznakomitszych krakowskich artystów przez brata owej zrozpaczonej małżonki, pragnącej rozstać się z tym światem. Słowem Kraków ma nieskończony łańcuch skandalicznych, teatralnych motywów do opiacowywania w poufnych rozmowach, a scena tameczna ma stać już tak nisko, jak nigdy jeszcze nie stała. Eksperyment z Pawlikowskim zrobił tedy kompletne fiasko.

Z pilzneńskiego nam piszą: W roku 1887 zorganizowaną została szkoła w Przeczycy, do której przyłączono Skopową tudzież dotyczące obszary dworskie. Zrobiono plan szkoły i kosztorys, rozłożono koszta budowy pomiędzy gminy i dwory, była więc nadzieja, że szkoła w bliskim czasie stanie. W czasie organizacyi był właścicielem Przeczycy izraelita, któremu mało zależało, czy szkoła będzie lub nie, więc też częścią z powodu niechęci właściciela, częścią dla braku odpowiedniego miejsca pod szkołę budowa jej odwlokła się. W r. 1889 majątek Przeczyca przeszedł w ręce katolickie; nowonabywca p. Henryk Kaczorowski objawił szczere życzenie, aby szkoła raz nareszcie stanęła, ofiarował nawet plac i kawałek gruntu na ogród, jednakowoż dla braku stosownego miejca nie mógł tego zaraz uskutecznić. Gdy jednak w r. 1892 skończyła się dworska dzierżawa propinacyi, p. Kaczorowski darował gminie karczmę, wraz z placem i kawałkiem ogrodu, nadto zaś zdeklarował się dostarczyć drzewa budowlanego i cegieł na kominy. Gmina wyrobiła sobie pożyczkę 300 złr., a oprócz tego otrzymała subwencyi 200 złr. Właściciel, kontent, że pod jego kierownictwem szkoła budować się będzie, zgodził majstrów, dał im zadatki i zdawało się już, że zapory przełamane, tembardziej, że starosta p. Biliński sprawę tę otaczał swą życzliwością. Ale fatum nieszczęsne zawisło nad tą szkołą. Starostę p. Bilińskiego przeniesiono, a gmina sąsiednia, niechętna szkole, rozpoczęła wichrzyć, różne wykręty i kruczki wynajdywać, tak, że od r. 1887 do tej chwili ani jednej na nią przypadającej raty nie złożyła i sprawę budowy szkoły odłożono ad calendas graecas. Darowany budynek, aby nie zniszczał, musiano sprzedać, za co uzyskano 275 złr. Właściciel Przeczycy p. H. Kaczorowski poruszał różne sprężyny, ale spotkał się z trudnościami, zniechęcił się i o budowie szkoły wiedzieć nie chce.

Klub złodziejski. Paryskiemu korespondentowi *Słowa* udało się zwiedzić pewien klub złodziejski, znajdujący się w centrum Paryża. W Klubie tym kilkuset rycerzy tego cechu zbiera się co noc na pogawędkę i odpoczynek. Korespondent tak opisuje swoją wizytę:

„Jeśli kto pragnie wtajemniczyć się lepiej w zwyczaje zbierającego się tam towarzystwa, przebrać się winien odpowiednio i być wprowadzonym przez któregoś ze stałych tamtejszych gości. Przed ciekawym, któryby zdradzał przez ubiór i zachowanie się, że jest intruzem, nie odsłania ów klub swych tajników; taki zwiedzający zadowolnić się musi tem, co mu okazać zechcą, zmuszony widzieć całe to towarzystwo w świetle, w jakiem ono przedstawić się pragnie, bo nie ulega wątpliwości, że ono przed zwiedzającymi zakład pozuje. W tych warunkach zwiedzałem klub złodziejski, opisywać więc „Tajemnic Paryża" nie mogę; ale wyniosłem przynajmniej pewne wyobrażenie, jakimi starają się przedstawić paryzkie „drapichrósty" i w czem pokładają ambicyę.

O kilkaset kroków od „Boulevard St. Germain", z ciasnej uliczki wchodzi się na brudne podwórze, z którego kilka schodków prowadzi do „chateau rouge" i — jesteśmy na miejscu. Izba obszerna, cała zastawiona stołami i ławkami, zbitemi z desek; naprzeciw wejścia, przy ścianie, bufet, powiedzmy wprost: szynk. Nad nim jaśnieje wielka lampa, rozlewa światło po całej sali, pozostawiając jednak odleglejsze kąty w zupełnym zmroku. Urządzenie to wielce praktyczne; kto ma pragnienie, trafi i tak do bufetu; kogo zaś sen rozmarza, ten głowę na łokciach opiera na stole i chrapie. Wszystkie ławki zajęte przez publiczność, którą najlepiej określić można obszarpańców. I mężczyźni i kobiety, starcy i wyrostki, rozbierają się przy stołach, na których między butelkami leżą zawinięte w łachmany drobne dzieci! Gdy się zbudzą, nalewa im się w gardło płynu, nazywanego pretensyonalnie winem i śpią dalej po tej truciźnie.

Z sali głównej wiodą schody na pierwsze piętro do „drawing room", miejsca wypoczynku, do którego przystęp tem utrudniony, że na każdym schodzie drzemie już gość jakiś, co miejsca na górze nie znalazł. Ostrożnie przekraczając drzemiących (a ponad oryginalnemi i malowniczemi kroczy się głowami — dobrze, że śpią), dociera się do wielkiej izby, w której nie ma ni stołu, ni ławki, ni tapczanu, żadnego zgoła mebla. Cicerone twierdzi, że to dawna sypialnia kochanki Henryka IVgo; dziś na ziemi, pokotem, jedna obok drugiej, ile miejsca starczy, leżą postacie obdarte i śpią snem — sprawiedliwych.

Wracamy na dół: obok sali głównej gabinet, do którego uprzejmie zaprasza gospodarz słowami: „Ależ wejdźcie panowie, my tu nie zabijamy". Dajemy się nakłonić dobrem tem słowem do zajęcia miejsc przy stole, każemy podać „wina", którem odświeżą sobie gardła miejscowi amatorowie-artyści korzystający z takich sposobności, by dać wokalne przedstawienie, za które zwiedzający wdzięczność swą wyrażają miedziakami. Miny artystów, ciasna duszna sala, miejsce samo, w którem się znajdujemy, wystarczałyby już do wywołania odpowiedniego nastroju; ale chlubiący się swą klientelą właściciel chciał je jeszcze spotęgować i ściany ozdobił obrazami, przedstawiającemi sceny mordów i rabunków, i w tej to „mise en scene" śpiewać, powiedzmy — ryczeć poczyna chór hultajski co przedniejsze numera swego repertuaru, pieśni zdumiewające bezwstydem i wyuzdanym cynizmem. Śpiewa je jeden artysta, chór podejmuje wiersz końcowy, jestem i wyciem, podkreśla najsilniejsze ustępy, świadczące, że niepośledni łajdaki są klientami złodziejskiego klubu.

Nie da się zaprzeczyć, że robi to pewne wrażenie, gdy w nędznej tej jaskini otoczy cię cała ta hultajska hurma i ryczeć pocznie swe obrzydliwości: fizyognomie piewców godne śpiewanej pieśni! Jest w tem trochę przesady, trochę chęci *épater le bourgois*, by wiedział, że z prawdziwymi rabusiami ma tu do czynienia; ale charakterystyczna to ambicya przedstawienia się w aureoli skończonego łotra, ambicya, zdaje się zresztą — uprawniona. W ten sposób jedni śpią, drudzy piją, a obydwa zajęcia idą *crescendo*, więc niebezpiecznie znaleźć się tu o godzinie bardzo późnej, bo ci, których trunek nie zmorzy, dobywają czasami noża. Trwa to do godziny 2 w nocy, poczem do klubu wkracza policya i rubasznie wyrzuca wszystkich, tak zimą, jak latem na ulicę. Zataczają się, przecierają oczy, matki łachmanami okrywają krzykliwe niemowlęta i wysypuje się na Paryż cała ta zgraja, nie mająca ni zajęcia, ni dachu. Dokąd idzie? Żyć im trzeba i pić również trzeba; nim zaświta, zarobią już jakoś na kawałek chleba i koszta następnego posiedzenia w klubie.

Świeżo zapytywany przez pewnego dziennikarza o powody wzmagania się liczby zbrodniarzy, sędzia śledczy p. Guillot taką dał odpowiedź: liczba przestępców rośnie, bo coraz wcześniej rozpoczynają oni swoją karyerę; mamy do czynienia z coraz to młodszymi zbrodniarzami. Instytucyi, opiekujących się młodzieżą, jest wiele, ale przekonywują się one, że niemowlętami brać muszą swych wychowańców, inaczej nie zmieni już wychowanie wszczepionych w dzieciństwie wraz z alkoholem nałogów. Dzisiaj 13-letni chłopak rywalizować może z weteranami zbrodni.

Ślepymby być trzeba, by nie widzieć, jak rozwojowi temu sprzyja brak uczuć religijnych; gdy dziecko nie ma przekonania, że patrzy na nie wciąż Istota wyższa, redukuje się dlań moralność do zagadnienia: jak oszukać ludzką kontrolę. Za religią nikną i inne ideały: ojczyzna, honor, obowiązek, pozostaje — walka o byt. Zachwiano też w masach ufność w wymiar sprawiedliwości; z zazdrością spoglądają oni na los wielkich finansistów, skazywanych nieraz surowo, a ułaskawianych po paru tygodniach. Wyrabia to w sferach tych przekonanie, że złodziejami są wszyscy, a wstydzić nie ma się czego, jeśli nie jest się dość wpływowym i dlatego cierpieć się musi więzienie, lub gilotynę.

Próżno chyba od żywiołów tych oczekiwać „ukorzenia się przed obrażonem społeczeństwem".

Niesłychana burza gradowa szalała wczoraj nad Wiedniem, a spustoszenia, jakie zrządziła, są wprost olbrzymie. W nocy już poczęły się gromadzić ciężkie chmury nad miastem, a o godzinie 7ej rano, kiedy rozpoczął się ruch na ulicach, przekupnie i robotnicy wychodzili do pracy, a wojsko na ćwiczenie, lunął najpierw deszcz nawalny, a potem grad tak duży jak jaja gołębie, a tak gęsty, że wśród huku jaki sprawiał uderzając w dachy i szyby, słowa nawet nie można było słyszeć. Ulice zamieniły się w bystre potoki, które porywały za sobą małe dzieci, a masa gradu tamowała bieg wody i sprowadziła zalewy piwnic i niżej położonych mieszkań. Potok Als zatamowany został zupełnie górą lodu, która powstała ze spiętrzonych brył gradowych. Dachy, gzemsy, chodniki pokryły się w jednej chwili warstwą lodu nieraz na stopę grubą. Masa ta leżąca na szynach, spowodowała wykolejenie się pociągu koło Lanzendorf. Także tramwaje, które w czas się nie zatrzymały, powyskakiwały z szyn. Po domach spustoszenia niesłychane; piwnice pełne wody, dachy podziurawione, wskutek czego woda i grad spływając na sufity, zawaliły je w niektórych domach, a ile szyb wybitych nawet obliczyć się nieda, lecz małą wskazówką może być to, że w samym Burgu jest ich wybitych 600, a woda i grad poczyniły wielkie szkody w pokojach arcyksiężnej wdowy Stefanii i Cesarza. Podobnież zniszczony jest pałac arcyksięcia Albrechta, a w pałacu Karola Ludwika grad potłukł nietylko szyby, ale nawet pogruchotał żaluzye i ramy u okien. W ministerstwie wojny jest szyb wybitych 2.000, w urzędzie cłowym 4.700, a w szpitalu powszechnym 10.000. Szyb u szklarzy zabrakło, ceny ich podskoczyły w dwójnasób, a przynajmniej trzech tygodni potrzeba, aby wszystkie szkody naprawić. Wiatr drzewa pobałal a druty telegraficzne i telefoniczne poprzrywane zwieszają się na ulice. Na Alsergrund woda zalała w piwnicy dwoje ludzi; grad zaś padał z taką siłą, że przebijał szyby jak kula karabinowa, a ludzi i zwierzęta ranił i zabijał. Policyantom, zanim zdołali pod dach się schronić, pozaginał metalowe hełmy. Dorożkarskie konie rażone gradem, uganiały w dzikim popłochu po ulicach. Kilka koni jest zabitych i zginął jeden dorożkarz. W Praterze znaleziono 2 robotników zabitych.

Burza zaskoczyła w drodze pułk dragonów z koszar Rudolfa. Konie, rażone gradem spłoszyły się i pozrzucały jeźdźców. Reszta w dzikim galopie wróciła do koszar. Wielu dragonów pokaleczonych zaniesiono do szpitalu. Także 42 pułk artyleryi ucierpiał w drodze od gradu, ale najstraszniejsza katastrofa zdarzyła się z 14-tym pułkiem artyleryi, który odbywał ćwiczenia koło Simering. Z nastaniem burzy, powstała tam niemal zupełna ciemność, a łoskot gradu był taki, że komendy nie było słychać. Konie się płoszyły, zrzucały kanonierów z siedzeń, a wielu zostało przejechanych. Po ustaniu gradu przedstawiało miejsce ćwiczeń widok pobojowiska, na którem uganiały konie bez jeźdźców, leżały przewrócone działa, czapki, połamane koła, części uzbrojenia. Ranni żołnierze leżeli po polu, błagając o pomoc, oficerowie uganiali łapiąc konie i gromadząc żołnierzy. Major Czajkowski stracił konia, który został zabity; jednego jednorocznego przejechało działo przez piersi. Najwięcej rannych i zabitych pochodzi ztąd, że nieszczęśliwi zostali 2 lub 3 razy przejechani. Zabici i wielu ciężko pokaleczonych pozostali na placu i później sześciu wozami sanitarnymi, transportowano ich do Wiednia. Burza nadeszła od południa i dotknęła, zdaje się na szczęście tylko Wiedeń i najbliższą okolicę, w której winnice i sady są zniszczone, zmiażdżone niemal, a gałęzie połamane, leżą grubą warstwą, zmięszane z błotem.

Wypadek z tramwajem elektrycznym mogący za sobą pociągnąć bardzo smutne następstwa, zdarzył się we wtorek. Oto w wagonie, zapełnionym szczelnie powracającymi z wystawy, kiedy zjeżdżał z góry urwał się łańcuch od hamulca czy coś innego się stało, dość, że sterownik nie mógł zahamować kół, a wóz na złamanie karku począł pędzić na dół ku szkole św. Zofii. Wśród pasażerów powstała panika. Niektórzy ryzykowali wyskakując z wagonu, a jeden z tych (p. Wojtowicz, urzędnik Wydziału krajowego) upadł tak nieszczęśliwie, że wywichnął sobie rękę, podarł na strzępy ubranie i skaleczył się w kilku miejscach. Innego pasażera wyrzucił wóz z taką siłą, że upadając, zranił się dotkliwie w głowę.

Doświadczenie jednak nie nauczyło dyrekcyi tramwaju elektrycznego ostrożności, wczoraj bowiem zdarzył się już drugi wypadek, tym razem dla odmiany karambol dwóch wozów. Jeden z nich, w którym się coś znowu popsuło, stał około godziny 10 wieczorem na drodze przy szkole św. Zofii, gdy wtem wpadł nań z całym impetem wóz następny. Uderzenie było tak gwałtowne, że baryerka żelazna i przód wagonu zgięły się jak papier, a nawet dach został popsuty. Cudem tylko nie było żadnego wypadku z ludźmi. I jakże się dziwić, że publiczność, wobec lekceważenia jej przez zarząd tramwaju elektrycznego, wobec takiego niedbalstwa i takiej wreszcie tandetnej roboty wozów, że się co chwila psują i powodują wypadki, jadąc na wystawę lub z wystawy, poczyna używać omnibusów, uważając je za wygodniejsze i bezpieczniejsze niż tramwaj elektryczny?

Dwie czasowe wystawy — jedna kwiatów, druga — nierogacizny zostały otwarte dziś rano na placu wystawowym. Skończą się dnia 12 bm.

Kiedy gazeta jest bez błędów drukarskich? Jeden z dzienników niemieckich powiada, że gazeta wtedy jest wolną od błędów drukarskich, jeżeli autor artykułu nie pomylił się pisząc; jeżeli napisał wyraźnie, jeżeli zecer do każdego przedziału kaszty rzucił właściwą czcionkę; jeżeli potem wziął właściwą czcionkę i jeżeli ją dobrze ułożył obok innych, jeżeli pierwszy korektor należycie przeczytał pierwszą korektę; jeżeli zecer pierwszą korektę rzetelnie przeprowadził; jeżeli drugi korektor przeczytał należycie drugą korektę; jeżeli zecer i tę drugą korektę rzetelnie przeprowadził; jeżeli rewizya została dobrze przeczytaną; jeżeli wszystkie działające tu osoby mają tyle czasu, ile potrzeba; jeżeli nareszcie tuzin innych okoliczności złoży się tak samo szczęśliwie, jak wyliczonych jedenaście punktów. A ponieważ pismo w formacie dużej ósemki zawiera 50 do 55000 liter, przeto wszystkie te szczęśliwe okoliczności musiałyby powtórzyć się 50 do 55000 razy, aby publiczność mogła czytać gazetę, zostanie wolną od błędów drukarskich.

Akwaryum na wystawie krajowej otwarte będzie dnia 10 b. m. Urządzają je pp.: Fiszer, Mikiewicz i Zontak. Wystawione będą okazy z Gumniak, Zatora, Bucniowa, Krzeszowic, Wysocka, Tomic i t. d.

Zniszczenie chorągwi polskiej. Donoszą nam o następującym wypadku. W poniedziałek 3 bm. podczas przybycia arc. Karola Ludwika, ks. rektor ruskiego seminaryum duchownego kazał między innemi chorągwiami wywiesić na gmachu także polską. Uczniowie seminaryum urządzili za to demonstracyę rektorowi w chwili, gdy miał wsiadać do powozu, aby udać się na dworzec na powitanie arcyksięcia, zastąpili mu drogę z żądaniem, aby się przed nimi wytłumaczył ze swego postępku. Otrzymawszy odpowiedź, że ks. rektor zdaje sprawę ze swoich czynności tylko przed ks. metropolitą zaśpiewali chórem „Jeszcze Polska nie zginęła, ale zginąć musi" poczem po wyjeździe ks. rektora wdarli się na strych, zerwali ztamtąd chorągiew polską i poszarpali ją w strzępy śpiewając „Wicznaja pamiat". W manifestacyi tej miało wziąć udział około 200 kleryków. Miałożby to doniesienie być prawdą?

Ze Złoczowa donoszą nam, że 3 b. m. poświęcono tam sztandar Towarzystwa „Sokół", ofiarowany przez grono pań. Po uroczystościach kościelnych, odbyło się solenne wbijanie gwoździ pamiątkowych. Na dochód budowy własnego gmachu zebrano przy tej okazyi 650 złr., z czego 500 złr. ofiarował hr. Baworowski z Kotłowa. Na zakończenie uroczystości odbył się wspólny obiad, popis gimnastyczny, świetny festyn na Kępie, a nareszcie wieczór z tańcami w kasynie.

Badania głębin morskich. Jak wiadomo, książę Monaco zajmuje się naukowem badaniem głębin morskich. Obecnie zamierza on wraz ze swymi współpracownikami baronem J. de Guerne i dr. Juliuszem Richardem, wypróbować na morzu śródziemnem nowe siatki, służące do badania jakie zwierzęta w jakiej głębokości żyją. Sieci owe są tak urządzone, że zarzuca się je szczelnie zamknięte w morze i dopiero w pewnej głębokości za pomocą specyalnego przyrządu nagle się je otwiera, po pewnym czasie znów zamyka i wydobywa na wierzch, tak, że prócz zwierząt i ryb z jednej tylko głębokości, żadne inne dostać się do jej wnętrza nie mogą.

Zmarli. Filip Siarkiewicz, były inspektor szkół okręgu żółkiewskiego i rawskiego, następnie kierownik szkoły pięcioklasowej i radny miasta Żółkwi, umarł w 58 roku życia. Ś. p. Bolesław Fiałkowski, w prostej linii prawnuk siostry Kościuszki, zamężnej hr. Estko, weteran z r. 1863, Sybirak, zmarł w 50 r. życia w Cieklinie.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 12, w poł. + 17° R. Barom. 755. Nieruchomy. Pogoda.

W restauracyi.

— Jakże panu dobrodziejowi smakuje? — zapytuje gospodarz.

— O panie! — wzdycha zapytany — gdyby mięso było tak młode jak piwo, a piwo tak stare jak mięso, wszystko byłoby w porządku...

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct., w poniedziałek 1 zł.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 6 czerwca.

(Z.) Niewyjaśniona sytuacya polityczna na Węgrzech i we Włoszech zmuszała i dziś spekulantów do zaniechania wszelkich operacyi na targu międzynarodowych walorów. Za to z tem większą żarliwością rzucili się oni w wir spekulacyi w papierach lokalnych. Z tego powodu fizyognomia targu dzisiejszego była bardzo ożywiona, a w niektórych walorach były ogromne różnice kursów. I tak n. p. praskie akcye żelazne w ciągu godziny podskoczyły o 11 zł., wszelako nie mogły aż do samego końca utrzymać tej zwyżki i zamknięto je kursem tylko o 3 zł. wyższym od wczorajszego. Ogromny ruch panował także w akcyach górniczych Rima Murany, w akcyach fabryki cegieł i towarzystwa budowlanego. Na targu papierów bankowych i rent nie było żadnego życia, co też ostateczne zamknięcie nie wiele się różni od wczorajszego. Na uwagę zasługuje to, że renta włoska pomimo, że przesilenie gabinetowe jeszcze nie jest zażegnane, rosła dziś w cenie zarówno w Paryżu jak i Berlinie. Wczorajszy najniższy kurs jej wynosił 77½, a dziś zamknięto ją powyżej 79. Jak się zdaje wybuch przesilenia we Włoszech jest na rękę kapitalistom zagranicznym, gdyż przewlecze ono sprawę zaprowadzenia 20-procentowego podatku od kuponów włoskich.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 350 80, węgierskie 434 75, Anglobanki 151·75, Uniony 257 50, Bankvereiny 127·—, Länderbanki 246 90, Ludwiki 215·75, Czerniowieckie 277·—, Elbethale 260 50, Renta papierowa 98·30, srebrna 98·15, austryacka złota 120 65, 4% austr. renta wal. kor. 97·85, węgierska złota 120·55, 4% węgierska renta wal. kor. 95·10, dukat 5·90—, 20-frankówka 9·95½, marki 12·26, ruble 1·34¼.

§ **Wiedeń** 6 czerwca. Spirytus 16 do 16 20.

Telegramy „Przeglądu".

Peszt 8 czerwca. Przywódca socyalistów, czeladnik stolarski Prockl skazany został za obrazę majestatu na 14 dni więzienia.

Cesarz przyjmował wczoraj po południu prezesa sejmu Banffy'ego. Po tej audyencyi udał się Banffy do Wekerlego i oświadczył mu, że Cesarz oczekuje nazajutrz przed południem sprawozdania jego co do utworzenia nowego gabinetu. Wekerle w towarzystwie Banffy'ego udał się następnie do ministrów Fejervary'ego i Hieronymi'ego, konferował z nimi długo, poczem naradzał się także z innemi wybitnemi osobistościami politycznemi. Dziś przedłożyć ma Wekerle Cesarzowi do ostatecznej decyzyi listę nowozamianować się mających ministrów.

Peszt 8 czerwca. W tutejszych sferach liberalnych opowiadają, że Wekerle przedłożył wczoraj Cesarzowi listę nowo zamianować się mających ministrów, lecz Cesarz nie chciał jej zatwierdzić dlatego, że figurował na niej p. Szilagyi jako minister sprawiedliwości. Wekerle domagał się, aby Szilagyi należał do nowego gabinetu, wszelako większość stronnictwa liberalnego, a nawet sam Szilagyi prosili go, aby przy tem żądaniu nie obstawał. W obec tych nalegań postanowił Wekerle ustąpić i wyszukać innego kandydata na ministra sprawiedliwości. A zatem w nowo utworzyć się mającym gabinecie obsadzone zostaną zapewne nowymi ludźmi teki: sprawiedliwości, oświaty i wyznań, rolnictwa i teka ministra na dworze cesarskim. Jako przyszłego ministra rolnictwa wymieniają Banffy'ego, jako ministra oświaty br. Eoetvoes'a, a jako ministra na dworze cesarskim hr. Juliusza Audrassy'ego. Dotychczas nie wiadomo jeszcze, kto będzie ministrem sprawiedliwości.

Paryż 8 czerwca. W parlamencie wniesiono wczoraj interpelacyę co do polityki, jakiej zamierza się trzymać rząd francuski w kwestyi afrykańskiej. Minister spraw zagranicznych odpowiedział, że przez układ zawarty między Anglią a państwem Kongo wyłania się kwestya międzynarodowego prawa afrykańskiego, która dotyka także praw Francyi. Rząd francuski przesłał zarówno do Londynu jak do Brukseli zastrzeżenie, w którem oświadcza, że uważa układ zawarty między Anglią a państwem Kongo za nieważny i że potrafi obronić swoich praw. — Izba jednomyślnie przyjęła do wiadomości to oświadczenie rządu. — (Patrz „Przegląd polityczny" *Przyp. red.*)

Peszt 8 czerwca. Sprawozdanie urzędowe o stanie zasiewów na Węgrzech w dniu 1 czerwca konstatuje, że roślinność w wielu komitatach ucierpiała znacznie skutkiem częstych burz, nawalnych deszczów, gradów, mgły i szronu. Pomimo to jednak widoki na żniwa są dosyć zadowalniające, gdyż przeciętnie biorąc można obecny stan zasiewów nazwać średnim.

Berlin 8 czerwca. Grecki następca tronu z żoną przybędzie tu wieczorem w odwiedziny do cesarstwa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 8 czerwca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 214 25 do 217·25. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. 276.— do 279 —. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, od 414·— do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101 10 do 101 80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·75. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 10[illegible] — Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·25 do [illegible] Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (l. emisya) 98 1[illegible] do 98 80. 4% los. w 41½ lat. 95 10 do 98 80, 4% [illegible] w 56 latach 97 40 do 98·10. 4½% los. w 52 lat — do —.—.

Obligi za 100 zł. Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96 90 do 97.6[illegible] Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·80 do 10[illegible] Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105 — do —·—, 4½% 100·— do 100 70 4% z roku 1891 96 75 do 97·45 4% z roku 1893 97 — do 97 70.

Monety. Dukat cesarski 5·36 do 5 96 Napoleondor 9·90 do 10·—. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 — do 1.35 — 100 marek niemieckich 61·15 do 61·45.

Wiedeń dnia 8 czerwca. (godz. 11 w połudn. Kredyty 351.15, kred. węgierskie —.—, Anglob. 151.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 246·80, Akcye tytoniowe 212 75, Staatsbahny 341·—, Lombardy (z kup.) 106.35 Elbethale —. Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·27, Losy tur. —.—.

RUCH POCIĄGÓW.

Zegar średnio-europ., wcześniejszy od lwowsk. o 36 m.

Odchodzą do	Kuryer		Osobowy			
Krakowa	2·24	10 10	4·50	10 35	6 55	—
Podwołoczysk	6·08	2·44	9·40	10 20	—	—
„ Podz.	6·22	2·56	10 04	10 47	—	—
Czerniowiec	6 15	—	10·15	2·55	10.30	—
Stryja	—	—	5·40	9·50	8·05	7·10
Bełzca	—	—	9·20	6 15	—	—
Przychodzą z						
Krakowa	2 32	5 25	9·35	6·36	9 41	—
Podwołoczysk	2·12	9 29	9·10	5·45	—	—
„ Podz.	1 58	9·15	8·45	5·19	—	—
Czerniowiec	9·40	—	7·37	12·27	6 35	—
Stryja	—	—	8·34	2 02	8 47	12·10
Bełzca	—	—	7·48	4·45	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

63)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Ale Justynie wiadoma była również i głęboka niechęć Nadiny do jej córek i naodwrót. Od czasu, gdy umierającą Teresę przywieziono do pałacu, słyszała ona nieraz wybuchy głosów i gwałtowne sprzeczki, zwłaszcza gdy hrabina przyszła do pokoju Heleny.

Rozumowała więc, że, jeżeli jej ukochana panienka wyszła tak wcześnie ze swą siostrą i nauczycielką, nie uprzedziwszy hrabiny, to widocznie pragnęła, by ta ostatnia nie wiedziała o tej wycieczce. Z tego powodu na zapytanie jej odrzekła, że się nic nowego nie stało.

Ubrała hrabinę, unikając starannie wszystkiego, co mogłoby dać powód do rozmowy o Teresie i Helenie.

Następnie, ukończywszy tę czynność, zaproponowała hrabinie, że poda jej śniadanie w saloniku obok jej pokoju sypialnego.

Nadina, zamyślona o czemś innem, zgodziła się.

Justyna uczyniła wszystko, by śniadanie przeciągnęło się jak najdłużej. Ale hrabina, rozmyślająca o rozmowie, jaką miała odbyć z Heleną o godzinie trzeciej, nie zwracała na to uwagi. Lękała się, czy okazane dnia poprzedniego więcej pojednawcze usposobienie Heleny nie zmieniło się, czy jej przenikliwość i niedowierzanie nie rozbudziły się znowu podczas nocy. Namyślała się więc, w jaki sposób wziąć się do niej, aby wzmocnić rodzącą się ufność córki; jakiemi słowami powinna do niej przemawiać, jakiemi łzami płakać?

To też ledwie kosztowała przynoszonych jej przez Justynę potraw.

Po skończonem śniadaniu hrabina nie spostrzegła nawet, jak służąca sprzątała ze stołu. Oparłszy głowę na rękach, zamyśliła się tak głęboko, że upływały minuty i kwadranse, a ona nie zdawała sobie sprawy z czasu.

Nakoniec zbliżała się godzina trzecia.

Wtedy ogromna niecierpliwość ogarnęła Nadinę. Nie mogła usiedzieć na miejscu i zerwała się z krzesła. Zaczęła chodzić po pokoju, co chwila spoglądając na drzwi, któremi miała wejść Helena.

Zegar wybił trzecią.

Nadina czekała dalej.

Helena się nie pokazywała.

Możeby posłać po nią?... Hrabina nie śmiała. A nuż to nie spodoba się Helenie i usposobi ją niechętnie!

Wybiła godzina czwarta, pół do piątej, piąta...

Helena nie przychodziła.

Wtedy pani Rochebelle podeszła do jej pokoju i zaczęła nadsłuchiwać.

Cisza zupełna.

Zapukała do drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Z bijącem sercem otworzyła je. Pokój był pusty. Pusty był również i sąsiedni salonik i apartament Sybili.

Hrabina, rozgniewana, zadzwoniła.

Weszła Justyna.

— Gdzie są moje córki i miss Andrew? — zapytała.

— Zapewne wyszły, jak się często zdarza, i wkrótce powrócą — odrzekła służąca naiwnie i tonem najnaturalniejszym w świecie.

— Czy jadły śniadanie?

— Nie wiem, proszę pani.

— Więc któż im usługiwał?

— Zofia, żona stangreta.

— Zawołaj mi ją.

Gdy odźwierna wyszła, Nadina, korzystając ze sposobności, zaczęła przetrząsać wszystkie sprzęty.

Zwykłe suknie Heleny i Sybili, torby podróżne, nawet waliza, którą przywiozły z sobą z Normandyi, i różne drobiazgi, potrzebne w życiu codziennem, spoczywały na swem miejscu w garderobie.

Hrabina odetchnęła.

Justyna miała racyę, córki jej powinny wkrótce wrócić.

Udała się do swego apartamentu.

Czekająca już na nią Zofia oświadczyła, że Helena, Teresa i Sybila nie jadły śniadania w domu.

— O której godzinie wyszły?

— Nikt nie widział, kiedy wychodziły... ani mój mąż, ani odźwierny.

— Więc nie wyjechały powozem własnym?

— Nie, pani hrabino.

— No, ale doktór Désormeaux odwiedzał dziś panią Dangely?

— Nie, proszę pani hrabiny. Gdyby doktór był przyszedł i nie zastał nikogo, byłybyśmy zawiadomiły o tem panią hrabinę.

Ta ostatnia uwaga przeraziła Nadinę.

— Powiedz swemu mężowi, by natychmiast zaprzągł do powozu.

Po wyjściu Zofii, hrabina, zamyślona, zaczęła się ubierać do wyjazdu.

Skoro doktór Désormeaux nie przychodził, to czy nie uczynił tego na prośbę Heleny, pragnącej nieobecność swą utrzymać w tajemnicy jak najdłużej? Więc w takim razie miss Andrew, Teresa i jej siostra nie pojechały na śniadanie do pani Jacobsen, jak hrabina z początku myślała, znalazłszy w apartamencie Heleny wszystkie rzeczy na swem miejscu?

I ta istota przeklęta jest tak sprytna i domyślna, że zrozumiała ją wczoraj i zamiast dać się złapać, jak Nadinie zdawało się, zadrwiła z niej i wykradła Teresę...

W podejrzeniu swem hrabina odgadła prawdę.

— Potrzeba natychmiast zawiadomić o tem pana de Combremont.

Była godzina szósta gdy siadła do powozu.

— Do Pałacu Sprawiedliwości! — wydała rozkaz stangretowi.

Ale nie zastała Maurycego w kancelaryi.

— Pan sędzia odjechał przed kwadransem — oświadczył szwajcar.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.